

# ECHO ZŁOTORYI

Nr 2 (190) 2023

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja

Cena: tylko 4 zł

ISSN 1897-4023



## Złapani w sieć


Wysłuchałam ostatnio w radiu, że młodzi, wkraczający w dorosłość określani są pokoleniem Z. Zaś sama należę do generacji X, czyli pokolenia ludzi urodzonych w drugiej połowie XX w., „którzy nie wiedzą, dokąd mają zmierzać, społeczeństwo zagubione w chaosie współczesności, wykreowanych przez modę wzorców, szukające odpowiedzi na trudne pytania i sensu własnej egzystencji. Symbol X oznaczać ma niewiadomą” (wikipedia). Mało budująca definicja i powiem szczerze, że to „zagubienie w chaosie współczesności” jest mocno przesadzone, a „szukanie sensu własnej egzystencji” – przereklamowane. W stosunku do pokolenia Z, zwanego też generacją C od connect (podłączeni do sieci) nie odczuwam kompleksów. Co więcej, mam wrażenie, że oni mają gorzej, choć pewnie uważają inaczej i na domiar złego mają nieuzasadnione przekonanie, że jest odwrotnie ☺

Co prawda dorastałam w czasach dwóch programów TV, magnetofonów szpulowych, później kasetowych, maszyn do pisania i samochodów na benzynę z łożem. Z płytą CD spotkałam się po raz pierwszy na studiach, podobnie jak z kserokopiarką i pecetem. Mimo to przyswoiłam sobie ich obsługę, podobnie jak wiele innych nowinek technologicznych. Weszłam gładko w świat mediów społecznościowych, umiem prowadzić telekonferencje, obsługiwać komunikatory i bawić się grafiką komputerową. Jak na moje lata uważam, że i tak daję radę w tym świecie. Owszem – mogłabym znać lepiej języki obce, ale wiem, że raczej z powodów sentymentalnych na emigrację się nie udam, więc może mój kulawy niemiecki, rosyjski i kilkadziesiąt słów po włosku oraz znajomość kilkunastu formułek po łacinie wraz ze składnią ACI wystarczą mi do końca życia. Dopóki starczy mi sił i szarych komórek będę szła z duchem czasu, bo wiem, że wystarczy chwila zagapienia i już wykopie się przepaść między mną a tymi, których uczę. Muszę być czujna ☺

Ale choć ścigam to pokolenie Z, to mam poczucie, że i tak jestem w lepszej sytuacji, bo mogę korzystać z tego, co jest ich codziennością, ale oni tego, co ja doświadczyłam, nie posmakują. Tak jak mleka prosto od krowy, chleba ze śmietaną i cukrem, vibovitu zlizywanego wprost z dłoni, oranżady z bąbelkami. Nie poznają zapachu mydła Zielone jabłuszko i chińskiej gumki do mazania. Jestem bogatsza od nich o doświadczenie przykładania języka do blaszek baterii, o granie w klasy czy w gumę. O kolekcjonowanie znaczków pocztowych i widokówek.

Jestem z pokolenia, które sprawdzało wiedzę w encyklopediach i słownikach - wcześniej wystanych w kolejkach. Z pokolenia, które umiało zrobić ściągę na klasówkę, pisząc maczkiem na miniaturowych karteluszka, które mieściły się w długopisie. Jestem z tej generacji ludzi, dla których wstydem było nie czytać, szczytem obciachu nie znać Poświatowskiej, Stachury, Hłaski, Hemingwaya, Bułhakowa i Wysockiego.

Trochę mi żal tych Zetek, że żyją w świecie chaosu, bombardowani pikselami i decybelami, w nieustannym czuwaniu między trzema ekranami. Wspomagający się sztuczną inteligencją. Zatruci niebieskim światłem. Złapani w sieć.

 Iwona Pawłowska



## Z babcinych przepisów

**Pana Grzegorza Kucy** poznałam przy okazji zbierania wiadomości o wsi Sędzimirów. Zainteresowała mnie jego różnorodna działalność, szczególnie w zakresie ogrodnictwa.

- **Czy może Pan nam trochę o sobie opowiedzieć?**

- Prowadzę małe, 3-hektarowe gospodarstwo rolne. Na tym areale uprawiam, w miarę ekologicznie, warzywa. Z zawodu nie jestem rolnikiem, bardziej z zamiłowania. Ukończyłem technikum mechaniczne w Bolesławcu. Potem dwa lata studiowałem rolnictwo, ale przerwałem studia. Mimo to zająłem się prowadzeniem gospodarstwa rolnego, większego niż obecnie. Uprawiałem warzywa, tak



jak teraz. Do tego 17 lat jeździłem pociągami w drużynie konduktorskiej, jako kierownik pociągu. Mogłem, pracując co dwa dni, pogodzić handel z pracą na kolei. Były to lata 90. Ciężko było cokolwiek sprzedać hurtowo, dlatego wyszukałem sobie w Szklarskiej Porębie i Karpaczu parę restauracji, które zaopatrywałem. Bardzo dobrze to działało do czasu, gdy powstały hipermarkety. Restauratorzy zaczęli domagać się obniżek cen do marketowych. W tym czasie sprzedawałem też warzywa odbiorcom detalicznym, wożąc je na giełdę albo w Lubuskie. Tam, gdzie ludzie nie mają za dużo pól, a w większości lasy. Uprawa warzyw to była taka manufaktura: pomagało mi dużo okolicznych kobiet, które nie miały pracy.

Płaciłem im, gotowałem dla nich obiady w okresie jesiennym. Ceny ówczesne to była katastrofa, np. 300 ton ziemniaków po 20 gr za kg. Nie bardzo to wszystko się opłacało. Wymyśliłem wtedy inny produkt: swojskie, kiszzone ogórki, robione początkowo w butlach 5 l po wodzie mineralnej. Te ogórki „zaskoczyły”, cieszyły się powodzeniem u właścicieli restauracji. Potem zaczęliśmy robić przetwory w słoikach. Moja żona Monika odszukała „babcine” przepisy na sałatki z ogórków, pasty z papryki i pomidorów, warzywa kiszzone i konserwowe, sosy warzywne. Na sałatki mamy ponad 20 przepisów. Muszą nam smakować, żebyśmy je sprzedawali. Mamy już stałych klientów, którzy sami przyjeżdżają do nas po 40-60 słoików, ale sprzedajemy także - zwykle na weekendy - na okolicznych giełdach. W sezonie pra-

ca jest na okrągło. Nie możemy pozwolić sobie na przerastanie warzyw, trzeba je zbierać, np. cukinię czy patisony, codziennie. Najpóźniej na drugi dzień musimy je przerobić. Wszystko to jest bardzo pracochłonne, pochłania dużo czasu. Taki mam sposób na małą gospodarke. Mam jeszcze pomysł na pasteryzowane zupy, np. fasolową, pomidorową. Może mi się uda go zrealizować.

- **Czy organizuje Pan jakieś imprezy w tej części domu po pradiadku? Przy tym kominku?**

- Raczej dla rodziny i przyjaciół. Lubimy



nak we mnie, dlatego założyłem z kolegami drużynę w Sędzimirowie i trenowałem juniorów w Raciborowicach. Bardzo miło wspominać Zygmunta Banasiewicza: świetny kolega i organizator sportu.

- **Proszę trochę opowiedzieć o swojej rodzinie.**

- Nie znam dokładnie historii rodziny. Mój pradiadek Jan Dobrzycki przyjechał z żoną Katarzyną, córką Cecy-

głębem” Lubin, z Czechami. Jak już mówimy o piłce, to sam miałem osiągnięcia w tej dyscyplinie. W szkole średniej byłem w wojewódzkiej kadrze juniorów. Trzy razy z kolei zdobyłem mistrzostwo województwa. W wieku 13 lat grałem w raciborowickim „Cemencie”. Graliśmy z Lubinem, Legnicą i Złotoryją. Klub był sponsorowany przez Cementownię, więc mieliśmy stroje, piłki, jeździliśmy na obozy piłkarskie. Piłka była wtedy dla nas wszystkim. Niestety, kontuzje kolan pokrzyżowały moje plany na przyszłość. Musiałem zrezygnować z marzeń o karierze piłkarskiej. Piłka została jed-

lią (moją babcia) i dwoma synami z Ojcowa, w 1946 roku, na stację w Nowej Wsi Grodzkiej. Prababcia znała osobistość Papieża Jana Pawła II. Chcieli mieć gospodarstwo na górcie, takie jak to. W I wojnie walczył z bolszewikami. Trzech z nich chciało go nawet utopić w Wiśle, być może w czasie bitwy o Warszawę. Ledwie uszedł z życiem. Przeżył trzy wojny. Był bardzo pracowity, ambitny. Babcia Cecylia została na 26-hektarowym gospodarstwie rodziców. Dołączył do niej dziadek Jan Stępień, pracował w cementowni. Babcia ciężko pracowała. Potrafiła o 5 rano wstawać i ha-



## Na pomoc szpitalowi

Nikogo nie trzeba chyba przekonywać, że nasz złotoryjski szpital wymaga remontu i modernizacji. Obecnie trwają wysiłki Zarządu, aby mimo przeszkód zdobyć na ten cel środki. Już niebawem ogłoszony zostanie przetarg na remont II piętra, czyli oddziałów wewnętrznych i neurologii. Potrzeby są ogromne i wstępnie zostały wycenione na około 9 milionów złotych. A co, jeśli Zarząd nie zdobędzie tych pieniędzy? Cóż, prawdopodobnie te dwa oddziały, a w dłuższej perspektywie cały szpital zostaną zamknięte. Jednym z potencjalnych źródeł uzyskania wsparcia jest Fundacja Polskiej Miedzi, do której w najbliższym czasie Zarząd zamierza złożyć wniosek. Z inicjatywy grupy mieszkańców Złotoryi powstał pomysł społecznego wsparcia dla tego przedsięwzięcia. Złotoryjanie zaangażowani w realizację pomysłu, nie są w żaden sposób powiązani z władzą polityczną czy samorządową. Każdy, komu losy szpitala powiatowego nie są obojętne, może złożyć podpis na liście, która będzie dostępna wszędzie tam, gdzie dotrą wolontariusze. Jeśli jednak ktoś z mieszkańców chciałby złożyć podpis, a nikt się do niego z taką prośbą nie zwróci, może to uczynić sam. Lista dostępna będzie do połowy marca w sekretariacie Zarządu na parterze szpitala.

Tekst pisma do Fundacji, pod którym zbierane będą podpisy, brzmi następująco:

*My, mieszkańcy powiatu Złotoryjskiego, zwracamy się z prośbą o wsparcie finansowe inicjatywy modernizacji II piętra Szpitala Powiatowego im. A. Wołańczyka w Złotoryi.*

*Nie przypadkiem kierujemy swoją pro-*

*bę do Fundacji Polskiej Miedzi. Nasz powiat w swojej wielowiekowej historii ma również tę, dotyczącą górnictwa rud miedzi. To nieopodal miasta znajduje się kolebka polskiego górnictwa miedzi – Leszczyna. Niemal w jego granicach znajduje się pierwsza uruchomiona na ziemiach polskich Kopalnia Miedzi „Lena”. Złotoryja stała się w okresie powojennym stolicą polskiego górnictwa miedzi. To stąd rekrutowało się wielu doskonałych górników, tworzących zręby nowego zagłębia miedziowego. Aby było to możliwe, nieuchronny był odpływ kadry z kopalń starego zagłębia: Kopalni Miedzi Lena, Konrad, Nowy Kościół, a także ZUG Lena. Miasta takie jak Złotoryja popadły w długoletni marazm gospodarczy, którego skutki w wielu miejscach widoczne są do dzisiaj. Jednym z nich są ograniczone możliwości finansowe tak społeczeństwa, jak i jednostek samorządu. To właśnie w Szpitalu im. A. Wołańczyka w Złotoryi, pomoc otrzymują między innymi nestorzy górnictwa miedzi, którzy pracując w kopalniach KGHM, nie zmienili swojego miejsca zamieszkania. Szpital w ostatnim okresie znacznie podniósł standard usług. Placówka stawia na rozwój, zatrudnia specjalistów, chcąc nieść niezbędną pomoc mieszkańcom regionu.*

*Aby pomoc medyczna była nadal możliwa, konieczna jest gruntowna modernizacja II piętra placówki. Koszt tej inwestycji ma wynieść około 9 milionów złotych. Kwota ta przekracza możliwości finansowe samorządu. Jakakolwiek pomoc ze strony Fundacji będzie przez nas przyjęta z wdzięcznością.*

*Andrzej Wojciechowski*



kać 5 hektarów buraków. Taką ją zapamiętałem. Mieli razem 6 dzieci. Mój ojciec Henryk zmarł wcześnie na gruźlicę, miałem wtedy 6 lat. Moja mama Ewa musiała sama wychować mnie i młodszego brata. Pomagała dziadkom, z którymi mieszkaliśmy. My też pracowaliśmy z nimi. Niczego nam nie brakowało. Babcia piekła chleb, placki, byliśmy niezależni. Mieliśmy swoje zwierzęta, mięso, mleko, masło, sery. Rodzina i sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie. Ja sam, gdy przejąłem gospodarstwo, hodowałem po 100 świń. Nauczyłem się rzeźnictwa. Dzisiaj też gospodarstwa powinny być samodzielne. Mój brat Tomasz jest z zamiłowania budowlanym i mechanikiem. Ma 4 dzieci. Ja mam jednego syna. Kacper nie został rolnikiem, ale pomaga mi w pracy.

Miałam okazję spróbować pysznych przetworów produkcji pana Grzegorza i jego żony oraz obejrzeć gospodarstwo. Dwie rzeczy zwróciły moją uwagę: kamienna studnia w podwórzu z 1662 roku oraz kominek z 1803 roku. To jednak już inna historia...

*Wioleta Michalczyk*

## Pieniądże a autorytet

Niedawno byłam na czterdziestych urodzinach mojej cioci. Był tam również mój dziadek, który jest wielkim fanem sportu. Akurat tego dnia nasza polska tenisistka Iga Świątek rozgrywała finał turnieju „French Open” z amerykańką Coco Gauff. Jak mogliśmy sądzić, spotkanie zakończyło się zwycięstwem naszej tenisistki, podobnie jak wiele poprzednich. Gdy oglądaliśmy z dziadkiem zakończenie tego finału, uświadomiłyśmy sobie, jak ogromne pieniądze zgarnęły obie zawodniczki. Dziadek powiedział mi, że ja też mogę zostać sportowcem i zarabiać na tym spore pieniądze. Wtedy nasunęło mi się pytanie, czy o byciu dobrym zawodnikiem decydują talent i zdolności, czy lata poświęcone treningom i ćwiczeniom? Równie utalentowanym i znanym na całym świecie sportowcem jest Robert Lewandowski, który, co ciekawe, kibicował Idze podczas tego finału z trybun. Przypomniałam sobie sytuację, gdy byłam na meczu, w którym grała reprezentacja Polski w piłce nożnej. Nie ma co ukrywać, Lewandowski wyróżniał się wśród wszystkich piłkarzy, pokazując swoje zdolności piłkarskie jako zawodnik i przywódcze jako kapitan.

Lewandowski potrafił przekuć swój talent na sukces finansowy, co sprawiło, że nie jest dla niego problemem zakup

nowego domu czy samochodu. Ale nie tylko sportowcy zarabiają bardzo dużo pieniędzy. W dzisiejszych czasach popularne stało się być youtuberem lub influencerem, czyli osobami, które swoją popularność budują w internecie. Wielu z nich nie może się pochwalić wykształceniem, a wśród nich są ludzie jeszcze na tyle młodzi, że mogłabym zaliczyć ich do grona swoich rówieśników. Mimo to zarabiają ponadprzeciętnie i nie narzekają na ilość gotówki. Czy jest to sprawiedliwe, że osoba tworząca krótkie filmy na portalach równa się zarobkami i popularnością z tymi, którzy poświęcili znaczną część życia na udoskonalanie umiejętności? Fakt - kreatywność jest cenioną cechą, ale osoby te nie potrzebowały lat praktyki, by znaleźć się w tym miejscu, w którym są. Youtuberzy do zarabiania nie potrzebują wykształcenia. Z resztą u sportowców wiedza ogólna również nie jest wyznacznikiem sukcesu, choć wielu zdobywa wykształcenie, by móc odnaleźć się w nowej roli po skończeniu kariery. Niestety, w społeczeństwie wśród innych zawodów nie można jednoznacznie określić równości pomiędzy dokonaniem, popularnością i zarobkami. Nadal istnieje wiele profesji, które pomimo swojej istotności nie gwarantują sukcesu finansowego. W opozycji do sportowców czy muzyków znajdują się naukowcy czy ludzie zajmu-

jący się edukacją.

Cechą wspólną wspomnianych wcześniej sportowców i ludzi nauki jest to, że ich sukcesy lub mądrość postrzegamy niczym szczyt lodowej góry, zapominając jak wiele ciężkiej pracy i poświęceń kryje się za każdym sukcesem. W dzisiejszym świecie bowiem podąża się za modą i za tym, co ludzie przedstawiają w mediach społecznościowych. W związku z tym wzorami do naśladowania dla młodych pokoleń są ludzie sławni w internecie, a nie będący żadnymi autorytetami. Nie prezentują oni sobą żadnych wartości. Są popularni, bo mieli trochę szczęścia, pomogły im w tym internetowe algorytmy oraz niejednokrotnie wybili się na przykład na robieniu rzeczy powszechnie uważanych za głupie. Jednocześnie jest bardzo dużo osób, które uciekają od świata popularności. Nie są oni popularni, lecz spędzają dużo czasu na ciężkiej pracy. Są między innymi wynalazcami lub inżynierami, którzy na co dzień zmieniają nasze życie, często nie zarabiając na tym dużych pieniędzy. Nie zawsze nasze dokonania przekładają się na sukces finansowy.

Uważam, że oprócz pieniędzy ważne jest również, jak to, co robimy, wpływa na innych i czy przez nasze działania możemy być autorytetem dla innych. Z ludzkiego punktu widzenia ważny jest komfort finansowy, ale równie znaczące jest to, jakimi jesteśmy ludźmi.

*Karolina Zwolak LO Złotoryja*

## Tu i teraz

Ostatnio zauważyłam, jak bardzo pośpiech uczestniczy w naszym życiu. Śpieszymy się do szkoły, pracy, domu. Pamiętam, jak byłam mała i mój dzień w przedszkolu zdawał się trwać wiecznie. Nie martwiłam się wtedy, że „nie zdążę”. Moim jedynym zmartwieniem było przyjść do domu na czas, aby nie spóźnić się na ulubioną dobranoczkę. Dzisiaj każda spędzona mila chwila wydaje mi się trwać za krótko. Każdy z nas ma jakieś marzenia, plany, cele, ale martwi mnie to, jak z wielu ust słyszę słowa, że „jest już za późno” lub „nie mam na to czasu”. Zazwyczaj, gdy planujemy coś większego, poddajemy się na samą myśl o tym, że nie dostaniemy tego „na już”. Marzeniem mojej mamy od zawsze był mały domek na wsi. Za każdym razem, gdy pytam, co chciałaby dostać na urodziny czy święta, zawsze z uśmiechem odpowiada mi tak samo. Pragnęła go od dziecka, ale przez całe życie wma-

wiała sobie, że nie ma czasu. Wierzyła, że gdy postawi na pierwszym miejscu pracę i inne obowiązki, w końcu będzie miała możliwość zrealizowania swojego planu, pomimo odkładania go ciągle na później. Dopiero teraz po latach zrozumiała, że najlepszy czas na działanie nigdy nie przyjdzie, jedyny jest tylko tu i teraz. Czas płynie albo za wolno, albo za szybko. Ciężko mi zrozumieć proces jego przemijania. Dlaczego 8 godzin spędzonych w szkole nie mija tak szybko jak zarwana noc spędzona na oglądaniu jednego sezonu serialu? Dlaczego 45-minutowa lekcja nie trwa tyle samo, ile szybkie wyjście na zakupy? Uważam, że największą zaletą i wadą czasu jest to, że mija. Jedyne, co pociesza mnie w trudnych chwilach jest to, że zaraz ona minie, a jedyne, co najbardziej zasmuca w szczęśliwych momentach jest to, że to też tylko chwila, która zaraz przeminie. Całe życie na coś czekamy. Czekamy aż dorośniemy, aż pójdziemy do pracy, na wakacje czy na weekend. A gdy upragniona chwila nadchodzi, znów narze-

kamy i czekamy na ten moment, który wydaje nam się lepszy od tego, w którym teraz jesteśmy. Czy naprawdę życie na tym polega? Jeżeli zostaniemy kiedyś zapytani u schyłku życia o naszą historię, odpowiemy, że „czekaliśmy”? Dlaczego teraz nie możemy przestać myśleć o tym, co będzie jutro? Za rok? Za dwa? Zamiast skupić się na chwili obecnej, pragniemy być już gdzieś indziej. Zapominamy, że jutro nie jest nam zagwarantowane. Marnujemy obecny cenny czas, który ma największą wartość właśnie teraz. Często słyszę od moich dziadków, czego by oni nie zrobili, gdyby kiedyś nie wmawiali sobie, że „nie mają czasu”. Nasuwa mi się teraz pewne powiedzenie, które mówi, że „lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż żałować, że czegoś się nie zrobiło”. Oczywiście nie należy interpretować tego zbyt dosłownie. Dlatego żyjmy i cieszymy się. Nie jutro, nie na weekend, nie na wakacjach, tylko tu i teraz.

*Natalia Szymańska LO Złotoryja*

# Wielka Piątka

23 stycznia spośród zgłoszonych kandydatów do tytułu Człowieka Ziemi Żłotoryjskiej Kapituła wyłoniła Wielką Piątkę finalistów.

O tym, kto zostanie Człowiekiem Ziemi Żłotoryjskiej 2022, dowiemy się 16 marca.

tych mistrzostw do naszego miasta przybyło ponad 300 zawodników z 22 krajów oraz duża liczba turystów, co przyczyniło się do wyjątkowej promocji Żłotoryi.

Działania Polskiego Bractwa Kopaczy Żłota pod przewodnictwem Zbigniewa Soi pozwalają kultywować średniowieczne tradycje związane z pozyski-

poszukiwaczy złota.

## Stanisław Zawadzki

W 2020 r. wykonał makietę stacji kolejowej w Żłotoryi na wzór z lat siedemdziesiątych XX wieku o dł. 220 cm, szer. 60 cm, w skali 1:87. Makietę jest ludzko podobna do oryginału, który pamiętają starsi żłotoryjanie: budynki takie jak były oraz ich usytuowanie względem

wano ją w telewizji internetowej Strimeo, są filmiki na platformie YouTube oraz publikacje w gazetach ogólnopolskich i regionalnych. Stacyjka Stanisława Zawadzkiego przyniosła naszemu miastu rozgłos ogólnopolski.

Rok później Stanisław Zawadzki stworzył kolejne arcydzieło. Na prośbę stowarzyszenia Composingart wykonał model satelity LEM w skali 1:1, który został zaprezentowany podczas Festiwalu Stanisława Lema w Starej Kopalni w Wałbrzychu 9 października 2021 roku. Satelita był ekspozycyjny na wielu prezentacjach stowarzyszenia Composingart na terenie województwa dolnośląskiego. LEM ma przyjechać do naszego miasta w maju, gdy stowarzyszenie Composingart będzie prezentować swoją twórczość.

Obecnie nasz mode-

ZOK, ma legitymację instruktora modelarstwa lotniczego I klasy oraz sędziego modelarskiego II klasy.

## Zespół: Katarzyna Iwińska, Natalia Widomska, Sylwia Dudek-Kokot

To trzy urzędniczki żłotoryjskich instytucji, które w pewnym momencie doszły do wniosku, że są w naszym mieście miejsca i obiekty zasługujące na upowszechnienie. Tak narodziły się ŻŁOTORYJSKIE SPACERY jako nietuzinkowy, ciekawy sposób na odkrywanie i przybliżanie historii miejsc, w których żyjemy. To też sposób na budowanie lokalnego patriotyzmu.

Każdy spacer to inna tematyka. Były więc spacery drogą biednego grzesznika skazanego na śmierć na szubienicy, zwiedzanie klasztoru franciszkanów, zwiedzanie Góry Mikołaja, odkrywano tajemnice alei Miłej, zwiedzano oczyszczalnię miejską, były wieże w wieczornych klimatach i inne.

Dzięki swojej charyzmie urzędniczki pozyskały do tej inicjatywy znane i lubiane postaci naszego miasta, które zgodziły się bez wynagrodzenia na oprowadzanie uczestników. To Roman Gorzkowski,



Monika Kaczmarek



Zbigniew Soja



Stanisław Zawadzki

## Monika Kaczmarek

Jako prezes koła w Żłotoryi Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków wspiera przede wszystkim osoby zmagające się z problemami cukrzycy, która stała się chorobą cywilizacyjną. Aktywnie działa na terenie miasta, organizując między innymi spotkania dotyczące profilaktyki i propagowania zdrowego trybu życia oraz bezpłatne badania wykonywane dzięki realizacji zadania publicznego „Działania z łagodzeniem skutków epidemii covid 19”, konferencje oraz wycieczki. Zorganizowała w Żłotoryi obóz Międzynarodowej Federacji Diabetologicznej, który co roku odwiedza inne państwo europejskie. Cyklicznie organizuje Ogólnopolskie Płukanie Żłota Diabetyków oraz Światowy Dzień Cukrzycy w Żłotoryi, co wpisało się na stałe w kalendarz imprez.

Monika Kaczmarek ponadto wspiera uchodźców z Ukrainy przybyłych do Żło-



Zespół: Katarzyna Iwińska, Natalia Widomska, Sylwia Dudek-Kokot

toryi i chorujących na cukrzycę, którzy potrzebują konsultacji medycznej.

Dodatkowo angażuje członków stowarzyszenia w życie społeczne i kulturalne miasta, promuje Żłotoryję na targach turystycznych w całej Polsce.

## Zbigniew Soja

Przedsięwzięcia podejmowane przez Zbigniewa Soję – wielkiego mistrza Bractwa Kopaczy Żłota – doceniane są nie tylko przez żłotoryjan, ale także przez Światową Federację Płukaczy Żłota, która ponownie powierzyła Żłotoryi organizację 45. Mistrzostw Świata w Płukaniu Żłota w 2022 roku. Podczas

waniem złota w naszym mieście i okolicach, przybliżają złotą historię Żłotoryi, dzięki temu można poznawać dawne zwyczaje górnicze. Bractwo popularyzuje opowieści i legendy związane z wydobyciem złota, prezentuje różne sposoby jego płukania, odtwarza zabawy i tańce gwarków w średniowiecznych strojach. Podczas prezentacji płukania złota zapraszani są widzowie, aby mogli spróbować swoich sił.

Dzięki aktywnemu działaniu stowarzyszenia pod kierownictwem Zbigniewa Soi w naszej małej ojczyźnie z roku na rok przybywa coraz więcej pasjonatów

siebie identyczne jak kiedyś. Są tu trzy perony, na torach stoją dwa pociągi osobowe, jeden towarowy, są figurki ludzkie – pasażerowie, kolejarze i robotnicy, którzy rozładują towar na rampie. Prace nad makietą trwały dwa lata i, jak twierdzi sam twórca, to dzieło jego życia. Stacyjka została uroczystie odsłonięta w Żłotoryjskim Ośrodku Kultury 13 sierpnia 2020 r. Mimo szalejącej pandemii koronawirusa na odsłonięciu przyszło sporo ludzi, pojawiła się też TVP 3 Wrocław. Media zachłysnęły się makietą. W ogólnopolskiej TVP materiał filmowy wyemitowano trzy razy, pokazy-

nie kończy kolejne dzieło. To fragment fortyfikacji miejskich z XVIII wieku w skali 1:35 z basztą kowalską, murami obronnymi, bramą do miasta, a przed murami kuźnią i kowalem oraz kilkoma domami. Oprócz tego na makiecie są świny w zagrodzie, gęsi, jedzie wóz konny i wiele innych ciekawych szczegółów. Za wzór posłużył modelarzowi rysunek z okazji 700-lecia miasta z 1911 roku. Już teraz w mediach społecznościowych można znaleźć wiele zdjęć makieły.

Stanisław Zawadzki od ponad 40 lat jest opiekunem sekcji modelarskiej w

o. Bogdan Koczor, Cezary Skąła, Sylwia Dudek-Kokot, Andrzej Wojciechowski. Pisząca te słowa również miała przyjemność poprowadzić spacer pn. „Tajemnice alei Miłej”. Było to wyzwanie i szczególne przeżycie.

Na każdym spacerze rozdawano jakieś gadżety: legitymacje z pieczętkami na pamiętkę, skany starych zdjęć i obrazów, były też atrakcje w postaci klimatycznych latarni, którymi oświetlano drogę biednego grzesznika, ale też mierzenie drzew na alei Miłej w celu określenia ich wieku.

Spacerzy błyskawicznie zyskały rozgłos,

a frekwencja uczestników przeszła najmilsze oczekiwania organizatorek. W każdej przechadzce udział wzięło od 50 - 90 osób. Uczestnicy byli zachwyceni nową inicjatywą w mieście.

Zespół Katarzyny Iwińskiej, Natalii Widomskiej i Sylwii Dudek-Kokot nie składa broni, bowiem są zapowiadane dalsze spacerki po mieście i okolicach z nową tematyką i formą.

**Zespół: Marcin Zawislak, Agnieszka Ardelli, Jacek Kazan**

Klub Honorowych Dawców Krwi Polskiego Czerwonego Krzyża działa w Złotoryi od 2018 roku i obecnie zrzesza ponad 130 członków. Klubem kieruje trzyosobowy zarząd z prezesem Marcinem Zawislakiem, pomagają mu Agnieszka Ardelli i Jacek Kazan.

Ich działalność polega na propagowaniu idei honorowego krwiodawstwa poprzez organizowanie akcji krwiodawstwa nie tylko na terenie Złotoryi, ale też całego powiatu złotoryjskiego. Klub również dąży do docenienia i uhonorowania dawców, którzy regularnie oddają krew. W 2021 roku dawcy, którzy oddali ponad 20 litrów krwi, otrzymali z rąk senatorów Doroty Czudowskiej i Krzysztofa Mroza odznaki „Zasłużony dla Narodu”.

W 2021 roku klub zorganizował dzień akcji krwiodawstwa na terenie Złotoryi, Wojcieszowa i Zagrodna. Cieszą się one powodzeniem z uwagi na to, że dawcy są umawiani do pobrania krwi na konkretną godzinę, najczęściej w tzw. *krwiobusach*, nie muszą czekać w kolejkach.

Tradycyjnie podczas każdej akcji organizowano wysokokaloryczne poczęstunki składające się z domowych wypieków z obowiązkowymi „pączusiami”, przygotowywanymi przez wolontariuszy współpracującymi z klubem.

Grupa Honorowi Krwiodawcy Złotoryja na fejsbuku ogłasza każdą akcję, informuje o brakach określonych grup krwi, propaguje idee niezwykle ważne dla całej społeczności o nadzwyczajnym darze, jakim jest krew. Klub Honorowych Dawców Krwi Polskiego Czerwonego Krzyża rozpowszechnia ideę, iż osoby, które regularnie oddają krew, zapewniają bezpieczeństwo całemu systemowi ochrony zdrowia, ponieważ krwi nie da się wyprodukować.

**Tekst: Agnieszka Młyńczak**

## Człowiek - wybryk natury



Nie jestem jakąś ortodoksyjną ekolożką. Jem mięso, noszę skórzane buty, częściej jeżdżę autem niż rowerem. Ale kupuję jajka od szczęśliwych kur, segreguję śmieci i nie palę plastiku. Mam dzieci, wnuczkę i chciałabym, przynajmniej dla nich zdrowego powietrza, czystej ziemi i niezatrutej wody.

A dla samej siebie widoków, które koją oczy. Mieszkamy w pięknej części Polski. Możemy cieszyć się bliskością gór. Wokół miasta nie brakuje lasów, ciekawych tras spacerowych. Nie truje nas wielki przemysł.

Tylko dlaczego w takim razie trujemy sami siebie?

Z taką myślą i innymi mniej cenzuralnymi wnioskami na temat ludzkiej natury wracałam ostatnio ze spacerów wokół miasta.

Ciepła niedziela. Słońce, od kilku tygodni niedające się rozpoznać spod gęstych chmur, wreszcie nadrabia swą nieobecność. Okazja, by wyjść z domu. Wyjść i chłonąć przedwiosenne powietrze z dala od dymiących kominów, z których leci to, co dało się spalić. Poza oponami.

Korzystam z okazji. Idę i chłonę rześkie powietrze, cieszę się tym wyjątkowym dniem, dopóki nie wejdę do pobliskiego zagajnika, gdzie między drzewami mieni się kolorami kopczyk. Gdyby była śnieżna zima, nikt by go nie zauważył. I pewnie na ten śnieg liczył właściciel tej barwnej góry śmieci, bo nawet nie potatygował się, by z kartonu usunąć swój

adres. Nie fatygował się też daleko, wynosząc te odpady, bo mieszka kilkaset metrów dalej, w pobliskiej wiosce. Wstyd – myślę – a wydawałoby się, że to taki porządný i zaangażowany w lokalne życie obywatel. Na swojej posesji ma nieskazitelny porządek. Ale przecież ten zagajnik jest cudzy, więc tu można zrobić chlew. Byle dalej od siebie.

Nie pierwszy raz przeżywam rozczarowanie człowiekiem.

Z niesmaką ruszam dalej, by po kilkunastu metrach zeskanować wzrokiem stertę opon. Niemożliwe, że to efekt wymiany ogumienia przez jednego właściciela samochodu. Jest tego za dużo. Mam wrażenie, że szef lub pracownik zakładu wulkanizacyjnego znalazł sobie miejsce na zupełnie darmowe składowanie odpadów. Musiał się jednak trochę natrudzić, by wkomponować te opony między drzewa, a wcześniej tu dojechać, do miejsca z dala od utwardzonych dróg.

Już humor mi się zwiesił, rośnie irytacja na ludzką bezmyślność, lenistwo, a może cwaniactwo? Nie wiem, jak to nazwać. Nie rozumiem, dlaczego ktoś uważa, że lepszym miejscem dla butelek, folii, opon jest pole lub las, a nie kubel czy darmowy PSZOK.

Miał być fajny, ładujący akumulatory spacer, a okazuje się, że mimowolnie wyznaczam trasę szlakiem okolicznych brudasów i staję się detektorem odpadów, bo po kilkuset metrach na skraju lasu i polnej drogi znowu wypatru-

ję składowisko odpadów. Tym razem ktoś remontował mieszkanie i oddał naturze, co mu zbywało. Wiadra po farbach, kawałki wykładziny, firany... Wyc się chce. Mam nadzieję, że ten, kto to wywiózł, połamał sobie resory lub urwał miskę olejową na polnych wertepach. I tak byłaby to zbyt łagodna kara za to barbarzyństwo.

Wracam do domu. Wybieram inną drogę, bo już nie mam ochoty po raz wtóry oglądać tych wątpliwych atrakcji. Schodzę wąwozem do miasta i cieszę się, że poza błotem nic nie maści mojej wędrówki. Uważnie patrzę pod nogi, by – jak to mówią – nie zaliczyć gleby i wtedy w oczy rzuca mi się patchwork z kolorowych skrawków materiału. Leżą wzdłuż drogi, mieszając się z błotem na dość pokaznym odcinku trasy. Tym razem mam podejrzenie, że kolejny rzemieślnik znalazł przestrzeń na pozbycie się tego, co zbywało. W pamięci grzebię, gdzie w okolicy jest jakiś zakład krawiecki lub tapicerski. Liczę na to, że to nikt z miejscowych, że to może efekt gościnnych występów kogoś, kto nie docenia uroku naszych terenów. Zastanawiam się, czy naprawdę nikt nie widzi tych ludzi, którzy jadą ze śmieciami w pola i lasy?

Kilka tygodni temu ktoś wyrzucił na chodnik przy głównej miejskiej ulicy wersalkę. Zrobił to w piątkowe popo-



łudnie, kiedy ruch na drodze jest naprawdę duży. Zapewne kiedy to robił, obok przejeżdżało kilkadziesiąt aut. I zapewne ktoś patrzył przez okno w bloku stojącym naprzeciwko alejek. I co? Nic. Wersalka spokojnie przeleżała na chodniku do poniedziałku, kiedy to odpowiednie służby ją uprzętnęły.

Odpowiednie, ale nie odpowiedzialne za to, co się wydarzyło.

Ten, kto jest za to odpowiedzialny nie poniósł żadnych konsekwencji i pewnie następnym razem, kiedy wymieni meble, stare porzuci w lesie, rowie lub na łące. Bo dlaczego nie? Skoro raz się udało.

Mam duże obawy, że nic w tej mierze się nie zmieni, dopóki ludzie nie pojmą, że tak naprawdę nie ma prywatnej i cudzej przestrzeni. To tylko ludzka umowa, z której natura nic sobie nie robi, natura tych umów nie rozumie, dla natury nie ma takich granic.

Bo dla natury, pisała Szyborska, „tylko to, co ludzkie potrafi być prawdziwie obce/ Reszta to lasy mieszane, krecia robota i wiatr.”

**Iwona Pawłowska**

## Kronika

**26.01** w Świerzawie odbyła się kolejna edycja konkursu kolęd i pastorałek w wersji online.

**27.01** Kapituła wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej ogłosiła 5 kandydatów do tego tytułu.

**28.01** w Gminie Wojcieszów odbyły się uroczystości z okazji jubileuszu 50-lecia pożycia małżeńskiego mieszkańców gminy.

**29.01** w Złotoryi zorganizowano 31. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

**31.01 – 6.02** głosowano na Mistrza Sportu Miasta Złotoryi za rok 2022. Laureatem został Oskar Widomski ze Sportowej Akademii Taekwon-do.

**1.02** Szkoła Podstawowa w Nowym Kościele otrzymała imię Jana Brzechwy oraz własny sztandar.

**1 – 3.02** miały miejsce konsultacje społeczne projektu „Program opieki nad zwierzętami bezdomnymi oraz zapobiegania bezdomności zwierząt na terenie miasta Złotoryja w 2023 r.”

**5.02** w Hali Sportowej „Tęcza” odbyły się półfinały Trecom Złotoryjskiej Ligi Halowej.

**7.02** w Szkole Podstawowej im. Jadwigi Śląskiej w Sokołowcu odbyła się szkolna debata pn: „Poznajemy bank centralny”, która jest efektem realizacji III edycji programu „Złote Szkoły NBP”.

**11.02** KPH Wulkan wygrał Złotoryjską Ligę Halową, pokonując w finale Kołowrotek Kondratów.

**13 – 25.02** w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyły się zajęcia i warsztaty dla dzieci w ramach ferii zimowych.

**13 – 25.02** Hala Sportowa „Tęcza” zorganizowała w ramach ferii zajęcia sportowo-rekreacyjne dla uczniów szkół podstawowych i średnich.

**14.02** Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi zorganizowała akcję rozdawania książkowych zaproszeń do MBP „Zakochaj się w bibliotece”.

**14.02** w Wiejskim Domu Kultury w Pielgrzymce zorganizowano dla mieszkańców „Wieczór Walentynkowy”.

**15.02** pod Wilczą Górą obradowali wójtowie i burmistrzowie 14 gmin aspirujących do Geoparku Krainy Wygasych Wulkanów pod auspicjami UNESCO.

**16.02** z okazji tłustego czwartku starosta Wiesław Świerczyński uczestniczył w "słodkim spotkaniu" z członkami Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów w Złotoryi.

**17.02** w Złotoryi obradowali prezydenci i burmistrzowie miast Polski, uczestnicząc w wyjazdowym posiedzeniu zarządu Związku Miast Polskich.

**17 – 19.02** w sali gimnastycznej Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi odbyły się Międzynarodowe Zawody Klasyfikacyjne PZSS w Strzelaniu z Broni Pneumatycznej „Wielki Puchar Kaczawy”.

**18.02** ZHP Szczep Złotoryja urządził obchody Dnia Myśli Braterskiej.

**25.02** w Złotoryjskim Ośrodku Kultury zorganizowano bal karnawałowy dla dzieci.

**25 – 26.02** na Zamku Grodziec odbyła się inscenizacja historyczna „Grodziec 1945”.

**28.02** w Gold Hotelu w Złotoryi odbyło się „śniadanie gospodarcze” dla przedsiębiorców i samorządowców z powiatu złotoryjskiego zorganizowane przez Związek Pracodawców Polska Miedź.

**Opracował Jarosław Jańta**



## Wygraliśmy z inflacją

Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy już dawno stał się świętem szeroko pojętego dobra, czyli życzliwości, radości, energii i chęci dzielenia się wszystkim z innymi. Takie dobro tkwi w każdym człowieku, czego na co dzień nie zauważamy, ale dzięki WOŚP jesteśmy tego pewni. W sumie nie jest ważny cel zbiórki, bo jaki by on nie był, wszyscy wiemy, że po finale więcej ludzi wyzdrowieje, mniej zachoruje i umrze. Tak jak to się zawsze dzieje już od 31 lat. Na ten jeden świąteczny dzień w środku zimy czeka wielu ludzi i wielu przygotowuje się na jego obchody już od października. To wydarzenie udowadnia jeszcze jedną oczywistą prawdę, że dobro powraca.

Szefem sztabu WOŚP w Złotoryi na czas 31. Finału został Paweł Kulig. Fakt, że akurat pracuje w Urzędzie Miejskim w Złotoryi pozwolił mu jedynie znaleźć się w odpowiednim miejscu i czasie. Tak wspominał tegoroczny Finał, gdy spotkałem się z nim w jego gabinecie w Urzędzie Miejskim:

„Na początku listopada ub. r. do urzędu przyszła Paulina Zagata, która szefem sztabu WOŚP w Złotoryi była przez kilka ostatnich lat. Ze względów logistycznych w tym roku harcerze nie mogli zająć się organizacją 31. Finału. Stąd, szukając swojego następcy, Paulina trafiła do burmistrza. Gdy byłem przy tej rozmowie, serce podpowiedziało mi, że

to jest ten moment, w którym, ze względu na swoje rodzinne historie, mogę spłacić osobisty dług zaciągnięty wobec Orkiestry. Tak zostałem szefem sztabu WOŚP w Złotoryi w 2023r. 31. Finał udał się doskonale dzięki zespołowi, który stworzyliśmy. Ten zespół stworzył się mimowolnie. Od razu do pomocy zgłosiło się wiele chętnych osób, gotowych poświęcić swoją energię i wolny czas. W organizację włączyły się CIT, ZOK, wszystkie przedszkola i szkoły. Swoim doświadczeniem wsparły nas Iwona Pawlus i Ania Ardelli, organizatorki niejednej miejskiej imprezy. Oczywiście podkreślić należy ogromną rolę Hufca, który dzielił się swoimi doświadczeniami z lat ubiegłych. Poznałem wspaniałe harcerki: Paulinę Zagatę, Agnieszkę Protasiewicz, Julię Kasprzyk. Cały zespół Hufca to wspaniali ludzie, z którymi nie miałem do tej pory do czynienia. Okazało się, że w naszym sztabie byłem tylko takim małym trybikiem, który spinał to wszystko, a nasz zespół, jak duża naoliwiona maszyna, pracował doskonale. Swoje działania zaczęliśmy po zarejestrowaniu sztabu ok. 20 listopada. Plan był taki, żeby do organizacji Finału włączyć wszystkie organizacje działające w Złotoryi i do nich wysłaliśmy maile z taką ofertą. Prawie wszystkie dały nam pozytywną odpowiedź. Ponadto w to wydarzenie zaangażowaliśmy sąsiednie gminy, które nie miały własnego sztabu, wiejską Gminę Złotoryja, gminy Zagrodno i Pielgrzymkę.

Plan naszego Finału był przebogaty. Należy podkreślić, że około 80% tego planu zostało ułożone przez naszą młodzież, działającą w Zespole Doradztwa Młodzieżowego. Przed budynkiem ZOK-u powstało „Złote Miasteczko”, gdzie swoje stanowisko mieli strażacy z OSP Olszanica i Zagrodno i gdzie postawione zostały stoiska „Złote Smaki”, „Złoty Grill”. Tam królowały smaki kół gospodyń wiejskich z Pielgrzymki i Twardocic oraz sołectw z Uniejowic, Modlikowic, Wojciechowa, Radziechowa, Brochocińska, Zagrodna wieś, Zagrodna osiedle, Olszanicy i Grodzca. Mieliśmy też ponad 40 blach ciasta upieczonego przez naszych mieszkańców, a których przechowaniem i dystrybucją zajęły się Monika Matuszczyk, Małgorzata Gołębiowska i Aneta Odziemek. Ważny w tak chłodny dzień był przede wszystkim ciepły posiłek, który ufundowały nasze złotoryjskie restauracje. „Złote Zabawy” ob-

sługiwały niezawodne lokalne stowarzyszenia na czele z Beatą Majewską. Natomiast Marcin Wilk ze swoimi „morsami” z OLAWS Złotoryja, wskazując do balii z lodowatą wodą sprawił, że kolejka po gorącą grochówkę powiększyła się dwukrotnie. Mam też sygnały, że „belgijka” tańczona przez szkoły i mieszkańców Złotoryi była strzałem w dziesiątkę. Napędzającym całe miasteczko był Maciek Wowk z Muzycznego Radia, który za swoje zaangażowanie nie wziął nawet „złamanego grosza”. W holu ZOK-u odbywały się konkursy wiedzy o Złotoryi, kiermasz gier i książek oraz mnóstwo innych atrakcji. Można było zrobić sobie wyjątkowy makijaż, a budka do zdjęć była ciągle zajęta. Obsługę stoisk w ZOK wspierały nauczycielki z SP1 i SP3 oraz Miejskiej Biblioteki Publicznej, a stoisko z pluszakami prowadziła Agnieszka Bugajska. Na scenie cały czas odbywały się występy i mieliśmy ciągle wypełnioną widownię. Chcieliśmy także, żeby wydarzenia związane z Finałem były rozproszone i odbywały się w każdym zakątku miasta. Imprezy zaczęły się już w sobotę, kiedy to odbył się marsz „Policz się z cukrzycą”, zorganizowany przez złotoryjskie koło Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków. Na Hali „Tęcza” przez dwa dni odbywały się turnieje organizowane przez KS „Górnik” oraz maraton Zumby i Fitnessu. Ponadto w „Pralni” odbywał się Turniej Gier. Na Stadionie Miejskim Adam Skórka i Ania Mrozek z OLAWS zajęli się „Złotym Biegiem” a Paulina Ruta z Polskiego Stowarzyszenia NW uczyła chętnych chodzenia z kijkami Nordic Walking, tuż przed „Złotym Marszem”. Nad wszystkim czuwał tam Jacek Zańko, Kierownik Hali Sportowej „Tęcza”. Za organizację pracy wolontariuszy, którzy obsługiwali wszystkie te wydarzenia, odpowiedzialna była Marta Kusiak. Ci wolontariusze to głównie uczniowie złotoryjskich szkół podstawowych i średnich. Byłem obecny na spotkaniu z nimi i byłem zaskoczony ich liczbą. Wszystkich było około 60 i wszyscy jak jeden, w trakcie pytania o swoje motywacje mówili, że chcą pomóc. Nikt nie powiedział, że ktoś na nim ten wolontariat wymusił, np.: za szkolne stopnie, czy inne „zachęty”. To naprawdę buduje. Mnie, jako szefowi sztabu, bardzo zależało na bezpieczeństwie imprezy i to mi spędzało sen z powiek. Na bieżąco miałem informacje od naszych służb, że wszystko przebiega bez incydentów. Szczególnie chodziło tu o kwestujących. Julia Kasprzyk, mająca doświadczenie w



pracy z wolontariuszami, którzy zbierali pieniądze do puszek, była odpowiedzialna za ich nabór i za ich organizację. Spisała się świetnie. Kwestujący mieli swoją bazę w Klubie Seniora, gdzie nasze wspaniałe seniorki zajęły się nimi i otoczyły matczyną opieką. Zebrane pieniądze w naszym banku liczyły bardzo doświadczony personel, które na co dzień są specjalistami z dziedziny finansów. Pieczę nad tym sprawowała Agnieszka Pogońska. Ona zresztą włączała się w każdą aktywność, jaka miała miejsce w Finał. Oprócz niej w komisji liczącej byli jeszcze Ewa Cibor oraz Szczepan Protasiewicz. Pieniądze były liczone do piątej rano. Trwałoby to dłużej, gdyby nie liczarki wypożyczone od banków Santander i Powiatowego Banku Spółdzielczego. Na drugi dzień do banku zdeponowaliśmy 100,7 tys. zł. Licytacje organizowała i współprowadziła Agnieszka Protasiewicz. Zajęła się też aukcjami na Allegro. Małgorzata Markiewicz, Angelika Naporowska, Barbara Wild zadbały o to, żeby było co licytować. Paweł Kochanowski zajął się obsługą graficzną Finału. Natomiast całą sceną, konferansjerką i dźwiękiem dyrygował nieoceniony Zbigniew Gruszczyński. Ewa Zator kierowała ruchem scenicznym. Występy przedszkolaków zgromadziły ponad setkę dzieci, które się przebierały i wychodziły na scenę. Były też grupy z Taekwondo, tancerze z Fundacji Trood, akrobaci z ZTA

Aurum, cheerleaderki i talenty z SP3, Chór z SP1 oraz Estrada Wokalna ZOK. Żeby opanować to wszystko, wymagało pewnego wysiłku. Na koniec koncertu „Pizgami” i „Sekcja Rapu”. Kto poczuł się spragniony, mógł napić się naszej złotoryjskiej „kranówki”, którą częstował z saturatora jej producent, Rejonowe Przedsiębiorstwo Komunalne. Zresztą RPK zawsze staje na wysokości zadania przy obsłudze świąt i wydarzeń, jakie dzieją się w Złotoryi. Myślę, że cały nasz zespół był zadowolony i usatysfakcjonowany z efektów naszej wspólnej pracy. Ja odetchnę z ulgą, kiedy przyjdzie oficjalne pismo o rozwią-

zaniu sztabu. Wtedy można będzie myśleć o kolejnym finale. Złotoryjanie naprawdę pomoc mają w swoim sercu, co wielokrotnie udowodniali chociażby w czasie pandemii, lub gdy trzeba było przyjąć uchodźców. Dziękuję całemu wspaniałemu Zespołowi organizującemu 31. Finał, wszystkim sponsorom, darczyńcom, stowarzyszeniom, organizacjom, instytucjom oraz wszystkim, którzy włączyli się w przygotowanie tegorocznego finału, a przede wszystkim hojnym mieszkańcom, którzy pokazali wielkie serce. Jestem dumny, że w tym roku mogłem być szefem sztabu i tego wspaniałego zespołu, nawet w roli małego trybiku.”

Wychodząc z gabinetu szefa sztabu, na korytarzu Urzędu Miejskiego spotykam Agnieszkę Pogońską, która na moje reporterskie pytania o zaangażowanie w sztabie WOŚP odpowiada:

„Nigdy do tej pory nie brałam udziału w organizacji Finału WOŚP jako wolontariuszka. Do tegorocznego sztabu zgłosiliśmy się całą ekipą, z którą wcześniej „po godzinach” remontowaliśmy mieszkania dla uchodźców z Ukrainy. To było coś, co dało nam mnóstwo zadowolenia i satysfakcji. W sztabie moim zadaniem była opieka nad bankiem i liczeniem pieniędzy. Pomagałam zresztą wszędzie, gdzie była taka potrzeba, zresztą jak wszyscy. Ponieważ sztab nie miał swojego budżetu jako takiego, kawę, herbatę, czy nawet opakowania na ciasto kupowaliśmy z własnych środków, traktując to jako swój wkład na Orkiestrę. Nie zdawałam sobie sprawy, że praca w sztabie to taki wysiłek, ale jestem z tego mega zadowolona.”

Na drugim piętrze budynku UM pracuje Ania Ardelli. Na moje pytanie o pracę w sztabie odpowiada: „Co ja tam. To o innych trzeba wspomnieć.” Dzięki jej kontaktom nawiązano współpracę z okolicznymi sołectwami. Ich lokalne wyroby w „Złotym Miasteczku”, pod organizacyjną opieką Angeliki Naporowskiej, rozesły się w 2-3 godziny, wzbogacając pulę zbiórki o 5 tys. zł.

Rok temu Złotoryja przejrzała na oczy. W tym roku w zbiorce pieniędzy pobiła rekord i pokonała inflację, bo zbierając 122,3 tys. zł, zebrała prawie o 50% więcej niż w roku ubiegłym. Inflacja w tym okresie wyniosła



„tylko” 17,2%. Złotoryja gra na „maksę” i będziemy tak grać do końca świata i o jeden dzień dłużej.

Spisał Jarosław Jańta



## Nie myśleć o jutrze

Historia Szymańskich z Nowych Łąk nie jest łatwą do czytania opowieścią. Nie ma w niej happyendu. Jest za to miejsce na ból, na złość i na łzy. Dlatego, kto czeka na budującą i krzepiącą słowa, niech nie czyta tego tekstu.

### Patryk

Patryk dziś ma 14 lat i zdiagnozowany zespół Cornellii de Lange (w skrócie □CdLS). Co kryje się pod tą nazwą? „Klinicznie zespół Cornellii de Lange charakteryzuje się współwystępowaniem mnogich anomalii zaburzających budowę różnych części ciała i twarzy (tzw. cechy dysmorficzne), zaburzeń intelektualnych oraz zachowania”. Zdarza się raz na 10 - 30 tys. urodzeń. Patryk jest jednym z około 150 Polaków, u których zdiagnozowano tę chorobę, a dokładnie zespół chorób.

Beata, mama Patryka, przez większość ciąży nie zdawała sobie sprawy, że urodzi dziecko z chorobą genetyczną. Żadne badania, a regularnie odwiedzała ginekologa, nie wykazywały nieprawidłowości. Dopiero w ósmym miesiącu ciąży podczas USG pojawił się u lekarza niepokój, dlaczego chłopiec jest tak mały.

Gdy Patryk przyszedł na świat, okazało się, że jest coś nie tak. Dłoń noworodka pozabawiona była kości, zdeformowane palce jednak nie były największym problemem. Chłopiec był malutki i miał ogromne problemy z oddychaniem. Lekarze zdecydowali się na natychmiastowe przewiezienie go do legnickiego szpitala. Gdy Marek – ojciec Patryka - pojechał dowiedzieć się co z chłopcem, lekarze kazali mu się przygotować na

najgorsze, bo stan noworodka był bardzo ciężki. Jednak nikt nie powiedział ojcu, co jest tego powodem.

Kiedy chłopczyk wyszedł z kryzysu, lekarze wypisali go do domu nie stawiając żadnej diagnozy. Rodzice byli bezradni, bo nie wiedzieli, skąd biorą się bezdechy Patryka, podczas których siniał i wymagał sztucznego oddychania (te niedotlenienia być może są odpowiedzialne za upośledzenie umysłowe chłopca). Nocami rodzice na zmianę czuwaliby przy łóżeczku syna, wyczulewni na każdą dłuższą przerwę w jego oddechu. Marek do tej pory z emocjami opowiada, jak próbował wieźć synka do szpitala i musiał po drodze zatrzymać się, by go wentylować. W szpitalu też nie mieli maski tlenowej odpowiedniej do rozmiaru buzi chłopca, więc nakładano mu ją na całą twarz, co szkodziło oczom. Małeństwo miało niedokrwistość i bardzo niską odporność. Trudno zliczyć wszystkie pobyty chłopca w szpitalu, gdzie zarzucano rodzicom, że głodzą dziecko, bo Patryk w ogóle nie przybierał na wadze. Nawet sztuczne karmienie kroplówkami i pompami na pediatрії w wojewódzkim szpitalu, gdzie chłopiec przeleżał 9 tygodni, nie dawało rezultatów, co bardzo opor-

nie trafiało do lekarzy. Zamiast szukać przyczyn problemów z zahamowanym rozwojem noworodka, upatrywano winy w rodzicach, którzy odbijali się od ściany, szukając wsparcia. Każdy pobyt dziecka w szpitalu wiązał się z tym, że Beata musiała też z własnej kieszeni dopłacać za towarzyszenie dziecku na oddziale. Dopiero po paru latach okazało się, że opłata jest pobierana niesłusznie, ponieważ dziecko jest niepełnosprawne. Ale żeby je za takie uznać, trzeba było przebyć długą drogę.

Dopiero we Wrocławiu, dokąd ojciec zawiózł Patryka, lekarze zaczęli szukać źródła problemu. Przebadali

chłopca dokładnie na okulistyce, na nefrologii, pulmonologii, również pod kątem immunologicznym, neurologicznym. We wrocławskim szpitalu lekarze podjęli się szczerpień, bo wcześniej żaden pediatra nie chciał brać odpowiedzialności za wyrażenie zgody na podanie szczerpień. Profesor Jankowski zdecydował się włączyć chłopca do programu i zaczęto cyklicznie podawać Patrykowi immunoglobulinę. Terapia okazała się sukcesem, bo przynajmniej chłopiec nie łąpał infekcji i skończyły się uporczywe bezdechy. Równolegle zaczęto szukać przyczyn stanu Patryka. W końcu wykonano badania genetyczne i okazało się, że tu właśnie tkwi źródło problemu. Chłopiec miał prawie dwa

lata, kiedy zdiagnozowano u niego CdLS.

### Marek

Ojciec Patryka mówiąc o synku nie potrafi ukryć emocji. Opowiada o tym, co działo się przez kilkanaście lat, z silnym wzburzeniem. Ma żal do kilku lekarzy, że nie widzieli w Patryku człowieka, tylko problem, od którego chcieli się odgonić. Ma pretensje o niesłuszne oskarżenia, że zaniedbali chłopca, że głodzili go. Nie może zrozumieć, dlaczego, gdy dziecko wymagało specjalistycznego transportu z dostępem do tlenu, kazali mu samodzielnie wieźć niemowlę do szpitala kilkadziesiąt kilometrów od domu. Nie wie, dlaczego ta medyczna machina jest tak bezduszna.

Wtedy, gdy ważyły się losy synka, on sam wylądował na OIOMie z podejrzeniem zawału serca. Jego organizm nie wytrzymał tego stresu i wysiłku, bo naprawdę dużo energii kosztowało go odbijanie się od drzwi do drzwi lekarskich gabinetów. A kiedy już się tam dostał, słyszał medyczne formułki, których w tym stresie zupełnie nie był w stanie pojąć.

Dziś jest już mimowolnie wyedukowany medycznie, lata praktyki zrobiły z niego fachowca, ale wtedy czuł się jak w labiryncie, w którym błądził po omacku.

Ta praktyka przydała się kilkanaście miesięcy temu, kiedy u jego żony – Beaty – wykryto nowotwór. Tak jak wcześniej z Patrykiem, tak teraz z Beatą odbijał się od lekarskich gabinetów, szukając pomocy. Ta droga okazała się jeszcze bardziej skomplikowana, bo choć diagnoza była postawiona dość szybko, to nowotwór, który zaatakował Beatę, nie dość, że nieoperacyjny, to jeszcze dał przerzuty do węzłów chłonnych i do płuc. Jeżdżenie po lekarzach, na wyniki, na chemię... tak od pewnego czasu wygląda życie rodziny.

Marek pracuje. Wstaje o 4 rano, jedzie do firmy i wraca do domu około 16. Na szczęście ma dobrą pracę i życzliwe szefostwo. Ma też dobre benefity w postaci ubezpieczenia. Chwali to sobie, bo jakby mu się coś stało, to żona i synek będą zabezpieczeni.

Na razie pieniądze idą jak woda. „Bezpłatna służba zdrowia wcale nie jest bezpłatna” – mówi Marek.

### Beata

Beata, w przeciwieństwie do męża, jest małomówna. Wydaje się zmęczona i przygaszona, ale nic dziwnego - nowotwór, chemioterapia, lęk o przyszłość mogą zdusić w człowieku energię. Jej dzień

to Patryk. Jest z nim nieustannie poza wyjazdami do lekarzy czy do szpitala, wtedy chłopcem zajmują się dwie ukochane przez Patryka panie Anny: niania – opiekunka z GOPSu albo nauczycielka, która przyjeżdża na dwie godziny dziennie, by uczyć chłopca mówić, śpiewać, malować, chodzić z nim na spacer.

Beata wstaje wcześniej, bo Patryk budzi się zaraz, kiedy usłyszy, że tato wstaje. Chłopiec nie poleży, od razu jest na nogach. Potrafi tak cały dzień przemierzać pokoje. Nie chodzi, a biega. Beata uważa, że do tych wszystkich przypadłości syna można by dopisać ADHD. Chłopak nie sygnalizuje potrzeb, więc Beata zmienia mu pampersy, a jak się uda, wysadza na ubikację. Patryk jak na swój wiek jest bardzo mały i chudziutki (Marek mówi, że syn jest miniaturową osobą), waży kilkanaście kilogramów, ale mimo to trzeba mieć dużo energii, by wykonać zabiegi pielęgnacyjne u chłopca, który cały czas jest w ruchu, wierci się. Beata chodzi za Patrykiem i wyciera mu buzię, bo cały czas się ślini i moczy bluzki, a potem marznie, a tu tylko krok do zaziębienia.

Mimo że Patryk nie mówi, Beata go rozumie, nauczyła się sygnałów wysyłanych przez syna. Odczytuje jego gesty, na przykład ten, kiedy dotyka ucha, wtedy Beata włącza mu piosenki disco polo, które chłopiec uwielbia i po swojemu śpiewa. Wie też, że czasem trzeba pozwolić Patrykowi na jego fanaberie, na przykład zamykanie się w szafie lub leżenie na płytkach w łazience (na szczęście Marek zrobił ogrzewanie podłogowe).

Karmienie syna też nie jest łatwe. Chłopiec nie je zwyczajnych posiłków, tylko zmiksowane zupki dla niemowląt i przeciery.

W nocy Beata czuwa nie mniej niż w dzień. Boi się, że Patryk znowu będzie miał bezdech, bo choć już nie ma ich tak często, to każdy może być śmiertelnie niebezpieczny.

Do tego wszystkiego dochodzą jej własne problemy, jej niedyspozycja, ból i niepokój o przyszłość. Tak naprawdę nie chce o tym

mówić. Stara się żyć tym, co tu i teraz. „Nie ma co planować, ja nawet nie wiem, co będzie wieczorem” – mówi.

Czy ma żal do losu? Do losu nie, do ludzi, do systemu. Mówi, że teraz tak wiele opowiada się o ochronie życia, o zakazie aborcji, o tym, że każde życie jest ważne. Tylko gdzie są ci obrońcy życia, kiedy trzeba po-



móc niepełnosprawnemu dziecku albo ich rodzicom? Ostatnio dowiedziała się, że gmina może nie dostać pieniędzy na zapewnienie im opiekunki dla Patryka. Rządu nie stać na wsparcie narodzonych. „Wie pani, ile pampersów mogę kupić dla Patryka na NFZ, gdzie i tak połowę muszę dopłacić? – Dwa na dzień”!

\*

Żegnając się z Szymańskimi, pytam, kiedy ostatnio czuli się szczęśliwi.

„My jesteśmy szczęśliwi” – mówią. „Niedawno wzięliśmy ślub, bo wie pani, jak żona zachorowała, postanowiliśmy sformalizować wszystkie sprawy. Przed pierwszą chemią pobraliśmy się. Mieliśmy małe przyjęcie dla rodziny. To był piękny dzień ☺” – dodaje Marek. „Jesteśmy szczęśliwi zawsze wtedy, kiedy nie musimy nigdzie jechać z domu. Do żadnego lekarza” – puentuje Beata.



# Słowa, słowa, słowa

„-Co czytasz mości książę?  
-Słowa, słowa, słowa.”  
„Hamlet” W. Szekspir

Dowiedziałam się ostatnio, że jedną z najokrutniejszych tortur w Chinach było obciążenie powiek. Nieszczęśnik poddany temu zabiegowi musiał chłonać obrazy otaczającego go świata przez całą dobę. Doprowadzało go to chorób, obłądki i rychłej śmierci.

Pomyślałam wtedy, że dziś tej torturze jesteśmy poddawani prawie wszyscy. Co prawda nikt nam fizycznie nie okalecza powiek, ale świat zewnętrzny i tak wdiera się do naszych mózgowi przez całą dobę, czy tego chcemy, czy nie. Codziennie nasz umysł ze wszech stron bombardowany jest informacjami, których pewnie nawet nie nadąża analizować. Gdybyśmy zamiast mózgu mieli komputerowy procesor, być może byłoby nam łatwiej poruszać się w chaosie informacji płynących z telewizji, radia, internetu, ulicznych bilbordów, drogowskazów, ulotek.. Niestety, zamiast procesora mamy gąbkę. Bardzo chłonna.

Codziennie do naszych oczu i uszu pcha się około 100 tysięcy słów. Ktoś obliczył, że to tak jakby mówiono do nas przez pół doby non stop. Pewnie nie byłoby dramatem, a wręcz przeciwnie – przyjemnością – gdyby to były słowa ciekawej powieści, nad którą łatwo się skupić. Niestety, wyrazy, które do nas płyną to przypadkowy patchwork różnych narracji, niespójnych ze sobą komunikatów. To nagłówki wiadomości z internetu, gdzie miesza się sprawy ważne z błahymi, liczby ofiar trzęsienia ziemi z przepisem na szarlotkę, to slogany z reklam proszków do prania i na ból głowy lub zadka, to potok słów przekrzykujących się polityków i strzępki podsłuchanych w markecie rozmów.

Nie mamy niestety w głowie sitka, które odsączyłoby to, co pożyteczne od zupełnie niestrawnej brei. Nie mamy filtra,

na którym osadzałaby się głupota, nieprawda, miałość.

Dlatego tykamy wszystko, a potem nafaszerowani słowami wypływamy z siebie bezrefleksyjnie komunikaty, których mózg nie zdążył jeszcze obrobić, oszlifować, nadać im sensu.

Mielimy słowa, gadamy, nawet nie mówimy, nie rozmawiamy, tylko odtwarzamy, co wpadło nam do głowy przez „okaleczone” powieki. Oczywiście jeśli nie zdążyliśmy tego zapomnieć, bo przeładowany mózg musi się jakoś bronić ☺

Z nostalgią wspominam czas, kiedy były dwa programy w telewizji, papierowe gazety, kilka tygodników lub miesięczników, które kioskarka odkładała do teczki (taka nieformalna prenumerata). Kiedy nie było reklam (bo co można było reklamować, jak w sklepach straszły puste półki ☺) i kiedy słuchaliśmy jednej rozgłośni radiowej. Kiedy trudne słowa i zasady pisowni sprawdzaliśmy się w słownikach, a definicje w encyklopediach. I mieliśmy na to czas

Nikt wtedy nie mówił o przebudcowanych dzieciach, a 45-minutowa lekcja spędzona w ławce na lekcji bez metod aktywizujących nie była torturą. I mieliśmy cierpliwość.

Dziś film – tak jak życie - musi być sekwencją szybkich scen, a napisy końcowe, zwane listą płac, uciekać widzowi sprzed oczu, by szybciej wyszedł z kina, bo czas to pieniądz. Stąd też maraton reklam przed każdym seansem i w konsekwencji, zanim widz zdąży zobaczyć film, już ma głowę pełną informacji.

Kiedy piszę ten tekst, zastanawiam się, czy przypadkiem, a może całkiem świadomie, nie zadaję okrutnej tortury tym, którzy go czytają, bo przecież to kolejne słowa, słowa, słowa... Niekoniecznie ważne i potrzebne ☺

Na wszelki wypadek przepraszam ☺

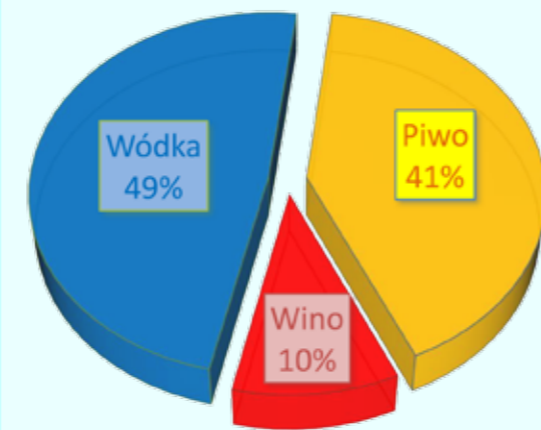
**Iwona Pawłowska**

# Spirit...

Co roku, w styczniu spływają do Urzędu Miejskiego dane na temat sprzedaży alkoholu na terenie miasta. Jak można się spodziewać z roku na rok kwota, jaka wydatkowana jest na napoje alkoholowe w złotoryjskich sklepach rośnie. Ma na to na pewno wpływ wzrost cen alkoholu, ale przede wszystkim wzrastający wolumen jego spożycia.



Alkohol to tak naprawdę bardzo łatwo dostępny, zalegalizowany narkotyk i w wielu przypadkach stanowi swoisty karnet do świata innych używek o znacznie mocniejszym oddziaływaniu. Dlatego warto na bieżąco analizować dostępne dane odnośnie wielkości spożycia, aby w porę wyciągnąć odpowiednie



wnioski.

W 2020 roku łączna wartość rynku alkoholowego w Polsce wyniosła 39,26 mld zł.

Jeżeli przeliczyć to na statystycznego mieszkańca Polski (włączając w to oeski), wychodzi 1026 zł. na głowę. Za tę kwotę statystyczny Polak kupił (oczywiście w przybliżeniu): 9,7 l wódki, 6,4 l wina i 93,6 l piwa. Razem daje to 9,62 l w przeliczeniu na czysty (100%) alkohol.

Inna sprawa, że statystyki odnośnie spożycia alkoholu różnie są prowadzone, stąd też i duża rozpiętość w podawanych liczbach. Spotkałem dane mówiące, że w Polsce spożycie wynosi ponad 12 l na głowę czystego spirytusu. Oczy-

wiście są „lepsi” od nas: na takiej Litwie np. piją ponoć 50% więcej od nas. Przed nami są Rumuni, Czesi, Bułgarzy, Chorwaci, Beldzy, Estończycy i obywatele Wielkiej Brytanii (żeby nikogo nie obrazić). Tuż za nami: Węgrzy, Słowacy, Łotyże, Niemcy i Słowacy.

A jak to wygląda w Złotoryji?

W zeszłym roku w złotoryjskich sklepach i lokalach gastronomicznych sprzedano alkohol na łączną sumę przekraczającą 25,7 mln zł, co daje kwotę 1715 zł na mieszkańca. Oczywiście, część alkoholu zakupili mieszkańcy okolicznych miejscowości, tak samo jak złotoryjanie (może w nieco mniejszej ilości) kupując alkohol poza granicami miasta.

Warto zaznaczyć, że w 2008 r. na jednego mieszkańca naszego miasta przypadało „jedynie” 856 zł wydatkowanych na tę płynną używkę. Jak łatwo zauważyć mamy równo dwukrotny wzrost wartości sprzedaży, jak kto woli zakupów.

25,6 mln złotych to znacznie więcej niż kwota przeznaczona w zeszłym roku na

inwestycje miejskie.

25,6 mln to zdecydowanie więcej, niż wydatki na oświatę.

25,6 mln to w przybliżeniu tyle co łączne nakłady na pomoc społeczną, 500+, 300+ itp.

Te 25,6 mln złotych przekłada się na miarę konkretną ilość wytworzonych odpadów: szklanych butelek - ok. 500 ton i puszek - ok. 70 t, które trafiają do śmieci, ale również do przydrożnych rowów i na skwery. Te 500 ton szkła to jakieś 250 tys. zł wydane na pozbycie się tych odpadów z miasta.

Gdzie sprzedaje się najwięcej alkoholu. Tu prym wiodą markety, które przejęły 52% rynku. Sklepy małopowierzchnio-

we zagospodarowały 39%, gastronomia 6%, a stacje paliw 3%.

W Złotoryji od 2018 r. więcej wydaje się na wódkę niż na piwo. Wino nie jest zbyt popularnym trunkiem, w gastronomii - wręcz marginalnym.

Co ciekawe w powiecie złotoryjskim w 2021 r. na 1000 mieszkańców wypłacono 3,9 zasiłki dla rodzin z powodu nadużywania alkoholu. Dla porównania w jaworskim było to 1,69, w legnickim 2,32, w lwóweckim 1,89, w kamienno-górskim 2,72.

Tyle pobieżnej statystyki - wnioski pozostawiam czytelnikom.

**Robert Pawłowski**

**CZŁOWIEK ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ 2022**

*Wielka gala*

**ZŁOTORYJSKI OŚRODEK KULTURY**  
PL. REYMONTA 5

**16 MARCA 2023**

**GODZ. 17:00**

wstęp wolny

**W PROGRAMIE**

- Prezentacja multimedialna Wielkiej Piątki
- Wręczenie nominacji do tytułu Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2022
- Przyznanie tytułu Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2022
- Pokaz tańca w wykonaniu Street Dance Academy Złotoryja
- Fragmenty spektaklu „Dziób w dziób” w wykonaniu Teatru Trzech Pokoleń ze Złotoryi
- Poczestunek - jako danie główne - profesjonalne podplomyki alzacckie ufundowane przez restaurację „Przy Milej”
- Wystawa zdjęć autorstwa Dariusza Dury







## Opowieść o Wojcieszowie

Nakładem wydawnictwa „Księża Młyn” ukazała się pod koniec ubiegłego roku książka o historii Wojcieszowa. Jej autorem jest emerytowany nauczyciel Wacław Patalas. Autor w trzech działach, Historia – Ziemia – Ludzie, przedstawia dzieje miasteczka, jego bogactwa i mieszkańców. Ze swoimi czytelnikami podzielił się refleksjami na temat swojej działalności i tego, jak powstawała książka:

Do Wojcieszowa wraz z kolegą przyjechałem jako młody nauczyciel w 1977 roku. Potem ścignęliśmy tu jeszcze kilku kolegów. Dlaczego tutaj? Pochodzę z Gorzowa Wielkopolskiego. To wyjątkowo nizinne tereny. W czasie studiów wszyscy chodziliśmy po górach, głównie po Karkonoszach. Pokochaliśmy je i dlatego szukaliśmy pracy w rejonie Dolnego Śląska, ale założenie było takie, że im bliżej gór, tym lepiej. Kiedy zobaczyliśmy ofertę z Wojcieszowa, uśmiechnęły nam się buzie. Poza tym, trzeba założyć, że młody człowiek często kieruje się impulsem. Z nami było podobnie. Powiedzieliśmy – tu jest ładnie. Zostajemy.

**Fragment książki:** „Zajechaliśmy do Wojcieszowa. Wysiedliśmy na pierwszym przystanku i wtedy okazało się, że trzeba jechać dalej. Wstąpiliśmy do pierwszego napotkanego sklepu. Czer-

wona oranżada, którą kupiliśmy, uświadomiła nam, że wszystko co do tej pory piliśmy, to nędzne napoje oranżadopodobne” To opis mojego pierwszego spotkania z Wojcieszowem. Ten sklep dziś już nie istnieje. Przyjechałem tu z kolegą, który podobnie jak ja, był świeżo upieczonym nauczycielem szukającym pracy. Byliśmy po całonocnej podróży pociągiem z Zielonej Góry, a przed nami była wizyta w Urzędzie Miasta i Szkole. Po tym, jak odkryliśmy smak tej oranżady, kupiliśmy jeszcze po 5 butelek.”

Pomysł na napisanie książki dojrzał we mnie przez wiele lat, chociaż muszę przyznać, że przez pierwsze lata mojego tutaj pobytu nie interesowała mnie historia miejsca, do którego trafiłem. Byłem wówczas na dorobku i najbardziej interesowała mnie praca i rodzina. Zmieniło się to, gdy w roku 1986 rozpocząłem dodatkową pracę w Domu Dziecka „Sobieradzik”. Jego dyrektor pokazał mi piękną marmurową tablicę z napisem mówiącym, że w tym budynku mieszkał Feldmarszałek August Wilhelm Anton Neidhardt von Gneisenau. W swoim czasie była to czwarta osoba w państwie pruskim. Był ambasadorem Prus w Anglii, dowodził obroną Kołobrzegu przed wojskami Napoleona. Było to zdarzenie, które wywarło na mnie na

tyle duży wpływ, że rozbudziło zainteresowanie historią miasta. Owa tablica do roku 1945 była wmurowana w ścianę budynku, potem zdemontowana i zakurzona leżała zapomniana na strychu. Kilka lat później szczęśliwym trafem wpadły mi w ręce dwie książki: jedna, napisana przez przedwojennego mieszkańca Wojcieszowa, którą dostałem od Pana Romualda Napiórkowskiego, nosiła tytuł *Kauffung an der Katzbach, Kreis Goldberg in Schlesien*. Tę książkę pożyczyłem na rok i zacząłem z pomocą znajomych tłumaczyć fragmenty, które mnie interesowały. Taki był początek pracy nad tekstem.

Nie ma w Wojcieszowie kroniki takiej, jaką można znaleźć w wielu dolnośląskich miastach, gdzie zdarza się, że obejmuje ona okres kilkuset lat. Musiałem się w zamian nauczyć korzystać ze źródeł szczegółowych, takich jak kroniki chrztów i zgonów. W 1892 roku ówczesny pastor Stockmann napisał dość szczegółową historię wsi Kauffung – było to dla mnie jedno z cenniejszych źródeł. Jest wartościowa o tyle, że wymienia ponad 100 dokumentów: od pisma z roku 1268, w którym po raz pierwszy wymieniona jest nazwa miejscowości, do dokumentów z końca XVII wieku. Kopalnią wiedzy okazały się natomiast fotografie udostępnione mi przez mieszkańców. Niemal za każdą z nich kryje się jakaś historia. Ale chyba najistotniejszym źródłem, oprócz dokumentów, są wspomnienia. Gdybym w książce chciał podziękować każdej z osób, która się ze mną nimi dzieliła, musiałyby powstać odrębny rozdział.

W 1996 roku zdecydowałem się na podyplomowe studia z historii, żeby poszerzyć swoją „ofertę edukacyjną”. Studia kończyły się pisaniem pracy. Ta, którą napisałem, dziś wzbudza mój uśmiech. Była to bardzo skrócona wersja historii Wojcieszowa, ale wówczas byłem z niej bardzo dumny. Niestety, nie mogłem kontynuować pasji, gdyż pracowałem w trzech placówkach jednocześnie i po prostu nie znajdowałem czasu na zajmowanie się historią. Ale już od końca lat 90. zacząłem zbierać wycinki dotyczące Wojcieszowa z najróżniejszych gazet, takich jak *Nowiny Jeleniogórskie* czy *Konkrety*. Mam w domu pokaźny zbiór ciekawostek dotyczących naszego miasta, które bardzo mi się przydały przy pisaniu. Ostateczna decyzja zapadła kilka lat temu, kiedy pomyślałem sobie, że może warto by wykorzystać to, co już wiem, poza tym poszperać w szufladach

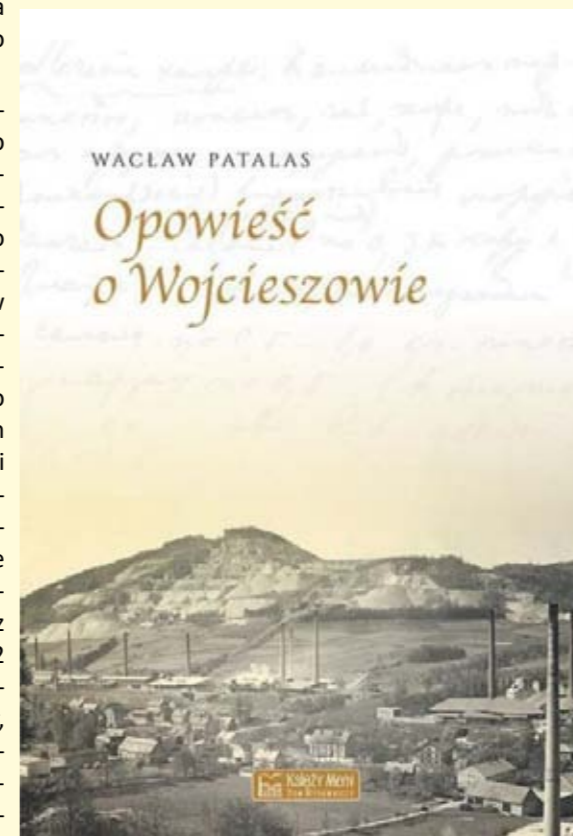
znajomych, namówić ich do przejrzania strychów, albumów ze starymi zdjęciami i innych miejsc, gdzie gromadzą się rozmaite pamiątki. Finalnie decyzja zapadła w roku 2019, kiedy to 3 maja powstałem pierwszą literę. Nie miałem zielonego pojęcia, na co się porywam i jak to będzie wyglądało, niemniej materiału nabierałem sporo – na tyle, by śmiało zabrać się do pracy. Niemal całe lato tego roku, (z krótką przerwą na kajaki) wciąż pisałem, aż do zimy. Napisałem wówczas 7 lub 8 rozdziałów. Nie były one opracowane chronologicznie – rozdział, który dziś jest trzydziesty, początkowo mógł być siódmym. Przyznam, że było to dość chaotyczne. Dopiero po jakimś czasie pomyślałem o tym, że skoro mam już napisaną 1/3 tekstu, to warto nawiązać kontakt z kimś, kto się na tym po prostu zna i podpowie mi, co robić dalej.

Praca przebiegała z różnym nasileniem. Czasami pracowałem 7 dni po 7 godzin – pisałem, albo coś tłumaczyłem, sprawdzałem, szukałem dodatkowych informacji, a czasami było tak, że przez trzy tygodnie nic nie robiłem, bo miałem tego po dziurki w nosie. Starałem się pisać po 5–7 godzin dziennie, ale takich dni było niewiele. Często zdarzało się, że rano kiedy sprawdzałem, co napisałem poprzedniego wieczora, ze złości trzaskałem komputerem i dochodziłem do wniosku, że potrzebuję przerwy. Niestety, nie zawsze tak jest, że mam tę melodię do pisania – człowiek nie jest w stanie pracować bez przerwy. Samo pisanie zajęło mi 2 lata, 3 miesiące i 14 dni. Oprócz pisania miały też miejsce inne rzeczy, przede wszystkim tłumaczenie z języka niemieckiego, gdyż bardzo wiele źródeł pochodziło z Niemiec. Szereg osób, którym jestem niezmiernie wdzięczny, bardzo mi pomogło, gdyż moja znajomość niemieckiego jest bardzo skromna. A do tego trzeba wziąć pod uwagę, że wiele tekstów pisanych było różnymi odmianami gotyku, tzw. szwabachą i innymi wzorami czcionki. Żeby taki tekst odszyfrować, a następnie przetłumaczyć, trzeba być ekspertem.

W rozdziałach dotyczących okresu powojennego są opisane takie sprawy, o których rozmawiałem z czterema osobami, i każda z nich zapamiętała daną historię inaczej. Takich kwestii, które nie zostały zdecydowanie rozstrzygnięte, jest w książce bardzo dużo, zwłaszcza w rozdziałach dotyczących sportu czy

wydarzeń kulturalnych. Dzieje się tak, ponieważ na przykład wydarzenia z lat pięćdziesiątych dzisiaj pamięta niewiele osób, a osoby, które je pamiętają, zbliżają się do dziewięćdziesiątki i pamięć je zawodzi. Może się zatem zdarzyć, że czytelnik natrafi na historię, co do której ma nieco inną wiedzę.

Pierwszym czytelnikiem każdego rozdziału była żona. A jako, że jest polonistką, ocena przychodziła jej łatwo. Była także pierwszą korektorką. Dopiero wstępnie poprawiony przez nią rozdział przesyłałem do zawodowej korekty. Okładka jest dziełem Julii Tarkowskiej – projekt spodobał się szefowi wydawnictwa, który natychmiast ją zaakceptował.



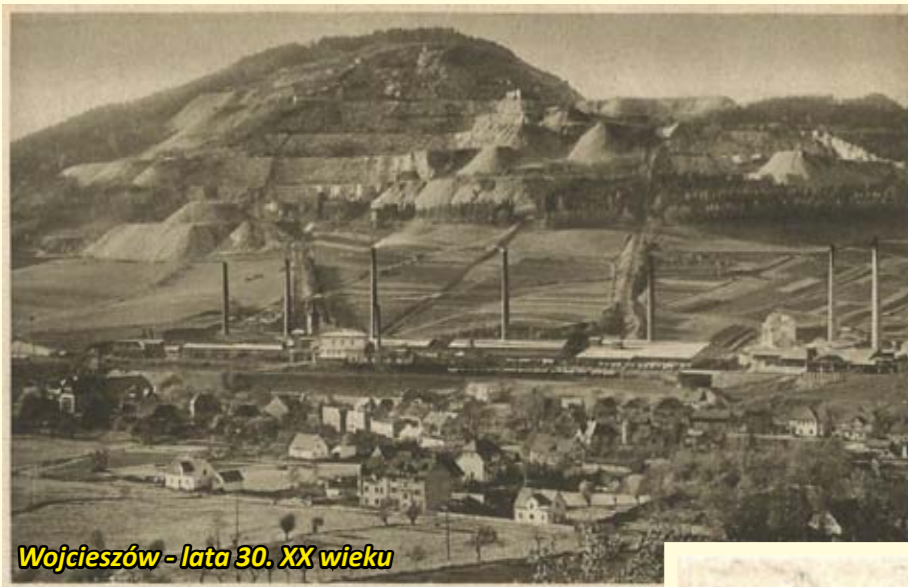
Praca, jaką wykonałem po napisaniu tekstu, to oddzielna historia, której nie chciałbym drugi raz przeżywać. Najciekawsze rzeczy zaczęły się dziać dużo później. Przede wszystkim byłem zmuszony odrzucić część tekstu, żeby opowieść była bardziej przyjazna i lżejsza w odbiorze. Pominąłem na przykład sporą część dotyczącą spółdzielni produkcyjnych, ale też wiele zasłyszanych dowcipów. Wydawca uznał, że książka jest zbyt poważna na dowcipy. Dużym problemem w pracy było podpisywanie zdjęć – wydawcy zależy, żeby było opisane, kto dane zdjęcie wykonał, kiedy i skąd pochodzi. W komunikatorach

mam zapisanych wiele rozmów z osobami, które użyczyły mi zdjęcia lub mogłyby coś o nich powiedzieć. Pytałem, kto zrobił dane zdjęcie, ale co najdziwniejsze, na ogół nikt się nie chciał przyznać. Poza tym, dużym problemem było zdobycie najrozmaitszych zgód, przede wszystkim od autorów zdjęć, a następnie osób, które są na zdjęciach – zwłaszcza, jeśli wówczas były małymi dziećmi. Za przykład może posłużyć zdjęcie, na którym znajduje się sześcioro dzieci z Klubu Malucha. Musiałem zdobyć zgodę na piśmie od rodziców każdego z dzieci. Dziś to rozumiem, bo nie chciałbym po latach mierzyć się z zarzutami od kogoś, komu się przypomniało, że nie wyraził zgody na publikowanie jego zdjęcia z dzieciństwa. Nie było to problemem samym w sobie, ale jednak było to bardzo pracochłonne i czasochłonne.

W czasie pracy nad książką było kilka momentów kryzysowych, kiedy miałem już dość pisania i przychodziły chwile zwątpienia w sens całego przedsięwzięcia. Było tak zwłaszcza wtedy, gdy dowadywałem się o czymś, co muszę zrobić, a czego nie miałem w planie – zwłaszcza, gdy szło o różne formalności. Na szczęście kryzysy jak się pojawiały, tak mijały. Miałem do czynienia z porządnym redaktorem, czyli osobą, która pilnuje autora i prostuje jego błędy, a działa w imieniu wydawcy. Zdarzało się, że rozmowy o tym, czy zdanie może być, czy nie powinno, trwały trzy dni. Redaktorem mojej książki była Pani Aleksandra Król-Bednarek. Wspólna praca, od zakończenia pisania, do złożenia ostatecznej wersji tekstu, zajęła półtora roku.

Kolejny problem dotyczył ilości zdjęć. Do pierwotnej wersji wybrałem 561 fotografii. Ostatecznie w książce znalazło się ich 331. W niektórych przypadkach do dziś nie jestem pogodzony z ich brakiem. Zwyciężyły raczej wydawnictwa. W przypadku tak dużej ilości zdjęć, byłby to album o Wojcieszowie. Innym dylematem okazały się zdjęcia kolorowe, które znacznie podwyższają koszty (a w interesie wydawcy leży ich ograniczenie). Zdjęć kolorowych ostatecznie znalazło się w książce 38, choć pierwotnie wybrałem ich niemal 200 – wiele z nich zdecydowałem się umieścić w wersji czarno-białej. Każde takie wachania jednej lub drugiej strony musia-

ty być rozstrzygnięte na drodze kompromisu. Inaczej by się nie dało, i w efekcie książka by nie powstała. Wszystkie wymienione potyczki z redakcją i wydawnictwem bardzo dużo mnie nauczyły. Kiedy zaczynałem pracę, nie miałem zielonego pojęcia o wielu rzeczach. Gdybym dziś miał wykonać podobną pracę, zabrałbym się do niej zupełnie inaczej.



Wojcieszów - lata 30. XX wieku

Wiem także, że najbardziej zapracowaną osobą w wydawnictwie jest redaktor. Jeśli ja zacytowałem artykuł i wskazałem, skąd pochodzi oryginalny tekst, redaktor musi to sprawdzić. Czy to jest na pewno ten numer czasopisma. Znalezienie wydawcy to kolejny problem. Nie jest łatwo, nie mając wcześniej rozpoznawalnego nazwiska, znaleźć kogoś, kto powie „ja chcę to wydać”. Dwa wydawnictwa były początkowo zainteresowane, a ostatecznie książkę wydał „Książę Młyn”, który specjalizuje się w tego typu literaturze.

Całe moje życie zawodowe było związane ze szkołą, dlatego rozdziały poświęcone oświacie pisałem z wielkim zaangażowaniem. W wojcieszowskiej szkole uczyłem 37 lat, poza tym pracowałem w Domu Dziecka i w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym. Byłem zatrudniony również jako edukator w Zakładach Wapienniczych. Jednak zawsze na pierwszym miejscu była szkoła. Z wielką niechęcią odszedłem na emeryturę. Ten rozdział pisało mi się dobrze, tym bardziej, że miałem mnóstwo źródeł. Równie łatwo napisałem rozdział o harcerstwie, bo była to druga dziedzina, w którą byłem bardzo zaangażowany.

Sporo trudności przysporzyło mi pisanie rozdziału o służbie zdrowia, z uwagi na problemy ze znalezieniem informacji o przedwojennych lekarzach. Do najob-

szerniejszego rozdziału, noszącego tytuł „Wapno”, miałem z kolei przesytno wiedzy o wszystkich czterech przedwojennych zakładach – bez problemu można by stworzyć na ich podstawie oddzielną książkę. Ogólnie rzecz biorąc, najwięcej trudności sprawiło mi zbieranie informacji. Samo pisanie było już zdecydowanie

łatwiejsze – przy czym bardzo trudną sztuką było dokonanie selekcji tego, co winno się w książce znaleźć, aby zainteresować czytelnika.

Celowym zabicie z mojej strony był brak podziału na okres przedwojenny, ukazujący życie niemieckich mieszkańców, i powojenny, odnoszący się do Polski. Zależało mi na tym, aby pokazać ciągłość historii. Uważam, że najlepiej pokazuje tę ciągłość rozdział o edukacji. Postanowiłem nie zamykać tego rozdziału w roku 1945 i otwierać nowego, tylko płynnie przejść do nauki powojennej. Niemniej w niektórych rozdziałach ten podział istnieje, na przykład w tym dotyczącym sportu czy działających wspólnot. Cezura 1945 roku wymusiła ten podział.

3 grudnia 2022 roku książka miała swoją premierę na Targach Książki we Wrocławiu. Szef wydawnictwa, Pan Michał Koliński, przeznaczył godzinę na moje spotkanie z czytelnikami. Po tym czasie miała się odbywać promocja kolejnego autora. Po trzech kwadransach pan z wydawnictwa nie miał już czym handlo-

wać, bo 50 egzemplarzy, jakie przygotował, po prostu się rozszło. Po trzech dniach rozszedł się cały pierwszy nakład 300 egzemplarzy. W tej chwili w sprzedaży znajduje się drugi dodruk. Wydawcy byli zaskoczeni – sądzą, że mają do czynienia z niszowym tytułem i szacowali, że jeśli książkę nabędzie co dziesiąty mieszkaniec Wojcieszowa, to nakład 300 egzemplarzy w zupełności zaspokoi tę potrzebę. Mnie również zaskoczyła ta popularność, tym bardziej, że wcześniej nie prowadziliśmy żadnej akcji promocyjnej. Pozostaje mi podziękować wszystkim tym, którzy tak ciepło książkę przyjęli. Od 3 grudnia, kiedy miała miejsce promocja, jestem w szoku permanentnym i nadal nie mogę dojść do siebie po tym, co się stało.

Wprawdzie część zgromadzonego materiału nie znalazła się ostatecznie w książce, ale nie mam planów na wydanie kolejnego tomu. Nie wyobrażam sobie, abym mógł kolejne trzy lata spędzić w trybie siedzącym. Przez ten czas przy-



było mi 5 kilogramów. Fotel przed komputerem jest tak wgnieciony, że nawet kot nie chce tam spać. Poza tym, człowiek staje się więźniem monotematycznych myśli. Kiedy praca dobiegła końca, byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Jednym słowem: nie będzie drugiej części, ale mimo to uważam, że pewne historie zasługują na osobne dzieło.

**Wacław Patalas** Rocznik 1953. Od 1977 mieszkaniec Wojcieszowa. Nauczyciel w Szkole Podstawowej nr 1, uczył: zajęć praktyczno-technicznych, chemii, fizyki, matematyki, przysposobienia obronnego, geografii, biologii, wychowania fizycznego i języka rosyjskiego. Pełnił też funkcję komendanta ZHP. Założył Harcerski Klub Kajakowy „Pliszka”.

✍️ **Andrzej Wojciechowski**



## List do przyjaciółki

Nie mam pojęcia, czy mój tekst nadaje się do Państwa gazety. Na co dzień nie zajmuję się pisaniami artykułów, nawet nie mam pojęcia, czy jest dobrze napisany. Pisałam z serca prośbę o niebagatelizowanie drobnych objawów raka jelita grubego. Moja mama właśnie umiera w szpitalu w Złotorzy na oddziale wewnętrznym, ma ostatnie stadium. Rak mógł się u niej rozwijać nawet 10 lat i nikt tego nie zauważył. Chciałabym, aby ktoś nagłośnił, jak ważne są badania profilaktyczne. Zapewne mało kto wpadnie na pomysł, żeby ot tak pójść na kontrolę. Przecież to mnie nie dotyczy, myślimy. Zazwyczaj w Polsce rak jelita grubego jest diagnozowany w ostatnim stadium, gdy na leczenie jest już zbyt późno. Gdyby chociaż jedna osoba poszła po takim artykule się przebadać, to uważałabym już to za sukces. Jedno życie uratowane. Cierpienie, z którym się obecnie zmagam, jest niewyobrażalne. Chciałabym, żeby choć jedna rodzina nie musiała przez to przechodzić.

*Droga przyjaciółko!*

*Na początku chciałabym Cię przeprosić, że dawno nie słyszałaś żadnych wieści ode mnie. Wiem, że długo się nie odzywałam, lecz zawsze myślami byłam przy Tobie. Wybac mi proszę, jeśli przysporzyłam Ci trosk z mojego powodu.*

*Co u Ciebie słychać? Czy dopisuje Ci zdrowie i Twojej rodzinie? Stasiu dostał się na wymarzone studia? Pozdrów go serdecznie ode mnie.*

*Minęło sporo czasu, odkąd dostałaś mój ostatni list. Wiesz, jak to jest, praca, dom i tak w kółko. Ciągłe wyjazdy i powroty. Spędzałam 2 miesiące w domu, a kolejne dwa w Niemczech. Będąc za granicą w pracy nie miałam czasu, żeby się do Ciebie odezwać. Choć*

*jak się tak nad tym teraz dobrane zastanowię, to jednak mogłabym znaleźć chociaż chwilę. Tłumaczyłam sobie, że jak zjadę do Polski, to wynagrodzę Ci brak kontaktu. Niestety na to jest już teraz za późno, to będzie mój ostatni list do Ciebie.*

*Dobrze znałaś moje "błaha" problemy ze zdrowiem. Ciągłe rewolucje jelitowe i ból kręgosłupa spędzały mi sen z powiek. Choć odwiedziłam wielu lekarzy, nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby poprosić o badanie pod kątem raka. Bo niby czemu? Lekarze mówili, że dołączające mi symptomy są normalne w moim wieku, tym bardziej, że dalej paliłam papierosy. W końcu przestałam odwiedzać lekarzy i próbowałam sama sobie pomóc. W telewizji oglądałam reklamy i kupowałam to, co polecali na ból brzucha. W tamtym momencie myślałam, że oszczędzam czas i że sama się wyleczę. W przerwach między moimi ulubionymi serialami zapisywałam nazwy nowych lekarstw i wysyłałam do apteki moją synową, w nadziei, że w końcu te biegunki ustaną. Zresztą prawie wszystkie reklamy w telewizji same mnie zachęcały do kupowania leków. Nie przypominam sobie, żeby była reklama, w której mówili, żeby nie leczyć się na własną rękę. Tak mijały miesiące i życie toczyło się do przodu.*

*Na święta w grudniu zjechałam do Polski na urlop. Wtedy poczułam, że coraz częściej brakuje mi sił, a moje dolegliwości się nasilały. Pomyślałam, że do następnego wyjazdu w lutym, odpocznę i mi przejdzie. Powoli przestałam jeść mięso, odrzucało mnie na samą myśl. Potem jadłam coraz mniej i mniej. W końcu dzieci były na mnie złe, że źle się czuję i mimo tego nie idę do lekarza. Na nic były moje wymówki, że lekarz i tak mi nie pomoże. Ale uległam, poszłam na wizytę, dostałam leki na ciśnienie i ból kręgosłupa, a na rozstroje żołądka miałam pić elektrolity. Leki były tak silne, że nie wiedziałam w jakim świecie żyję, chodziłam trzymając się mebli. Zadzwoeniłam do lekarza i poprosiłam o zmianę leków. Wybrałam się znowu do przychodni i dostałam nową receptę. Niestety i one mi nie pomagały. Odstawiłam. Dwa dni nie brałam żadnych leków i nagle poczułam ulgę, było lepiej. Wieczorem oglądając ulubiony serial, plotkując z synową, na-*

*gle poczułam przeszywający ból po lewej stronie ciała. Synowa przestraszyła się, jak na mnie spojrzała. Mówiłam do niej, ale mnie ledwo rozumiała. Przypuszczała udar. Zadzwoeniła po karetkę, w międzyczasie zmierzyla mi ciśnienie w lewej ręce. Ręka nie reagowała, jakbym już nie żyła. Prędko sprawdziła na prawej ręce i było dość niskie. Karetka przyjechała, nie mogłam podnieść lewej ręki do góry, była bezwładna, a moja twarz lekko sparaliżowana. Lekarz poprosił o zgodę na kontrolę jamy brzusznej, odmawiałam, ale nalegał i w końcu uległam. Po wykonaniu badania, zasugerował, że to może być zapalenie jelita grubego i powinnam jechać z nimi do szpitala. Niechętnie, ale pojechałam, ponieważ synowa mnie namówiła. To wszystko wydarzyło się tak szybko. W poniedziałek trafiłam do szpitala, robili różne badania, ja czułam się jeszcze w porządku, ale z każdym dniem było ze mną gorzej. W czwartek usłyszałam diagnozę: to był rak jelita grubego, ostatnie stadium. Rak jelita grubego rozwija się bezobjawowo, "po cichu". Bagatelizowałam objawy, lekarze nie wpadli przez tyle lat na pomysł, żeby zbadać mi brzuch, a ja żyłam dalej i borykałam się z bólem.*

*Rak jelita grubego to drugi najczęściej występujący nowotwór w Polsce. Jeśli zostanie we wczesnym etapie wykryty, jest całkowicie uleczalny. Problem w tym, że w początkowej fazie bardzo trudno go rozpoznać. W szpitalu przebywam już 2 tygodnie, lekarze nie dali mi więcej niż 3 tygodnie życia... Dzieci przychodzą mi codziennie odwiedzać, pomagają w codziennych czynnościach. Widzę ich ból, ale nie mogę im ulżyć. Gdybym tylko robiła profilaktycznie badania np. na obecność krwi utajonej w kale, mogłabym wygrać tę walkę. Niestety, przeciwnik okazał się sprytniejszy ode mnie.*

*Muszę kończyć, ale mam ogromną prośbę do Ciebie. Błagam, abys Ty i Twoja rodzina nie musiała cierpieć, przebadaj się. Wykonaj badanie przesiewowe bądź kolonoskopię - oglądanie jelita grubego od środka specjalnymi aparatami, które jest najlepszą metodą wczesnego wykrycia raka jelita. W naszym wieku, czyli po 50. roku życia nie powinniśmy czekać na objawy i profilaktycznie badać się. Niech moja nauczka będzie dla Ciebie ważną lekcją.*

*Całuję, Twoja przyjaciółka.*

Milena S.



## Pamiętam ten pałac

Wiele osób pamięta jeszcze piękny budynek na wjeździe do Nowej Wsi Złotoryjskiej od strony Uniejowic. Rozmawiając z nimi można sobie wyobrazić, jak wyglądał. Obecnie jest tylko widoczny niewielki park, niedawno zagospodarowany przez mieszkańców oraz zabudowania starego majątku po przeciwnej stronie. Ten tzw. pałac to była **Villa Schöhl**, uwieczniona na paru przedwojennych widokówkach i zdjęciach. Szperając w źródłach, znalazłam na jej temat artykuł Holgera Rüdiger Arndta w czasopiśmie „Schlesien heute” (12/2005,) wydawanym w Görlitz przez Senfkorn Verlag. Za zgodą redakcji wybrałam z niego naciekawsze informacje:

„W 1966 roku **Manfred Schöhl** (1903-2001) napisał dla kolejnych pokoleń książkę „...damals in Schlesien” („...wtedy na Śląsku”), zilustrowaną przez jego żonę Tatjanę grafikami z widokiem zamków i domów, które były przez lata w posiadaniu rodziny. Pochodził ze starej śląskiej rodziny właścicieli majątków. Jeden z nich znajdował się w Neudorf am Rennwege\*, gdzie w starym majątku nocował Napoleon, wracający w 1812 r. z Rosji. Jego właścicielem, przez małżeństwo z córką Schnablów, był wtedy Johann Gottfried Sagasser - przodek późniejszych Schöhlów. Rodziny spokrewnionych Sagasserów i Schubert - Schöhlów pochowane są na cmentarzu w Złotoryi. Przodkowie rodziny Schöhl pojawili się w Nowej Wsi w czasie wojny trzydziestoletniej, wraz z wojskami szwedzkimi króla Gustava Adolfa. Nazwisko Scheel (Schehls Schöhl) pojawia się po tejże wojnie, także w Pielgrzymce. Christian Gottfried Scheel był handlarzem przędzy i właścicielem gruntów

rolnych. Jego wnuk - Wilhelm Schöhl (1828-1910) ożenił się w 1860 r. z Idą Schubert z Nowej Wsi Złotoryjskiej i kupił od teścia tutejszy majątek. Miał wtedy 32 lata. Jego żona była drobna i delikatna, a życie na wsi ciężkie. Różnorodne obowiązki w gospodarstwie i opieka nad dziećmi spadły na wąskie ramiona matki. Marzenie Idy: ujrzenie, chociaż raz w życiu, oddalonego o dzień drogi Berlina, pospacerowanie po jego szerokich ulicach, wizyta w kawiarni, nie spełniło się. Życie na wsi miało inny rytm: wstawiała o 4 rano, aby zebrać śmietaną z mleka. Rodzina była jednak wolna, niezależna finansowo i mogli dobrze wyposażyć dzieci. Dwoje z nich: Alfred i Leontine zmarło w dzieciństwie. Pozostali to: Elfriede, Eugen, Hedwig i Eberhard. Manfred opisuje w swojej książce ich dorastanie i wykształcenie. Eberhard (1873-1945) był właścicielem dwóch majątków w Nowej Wsi, dóbr rycerskich w Żeliszowie i Ernestynowie. Eugen (1866-1935) studiował prawo i został radcą tajnym w Görlitz. Elfriede została panią na dobrach rycerskich w Twardocicach, a Hedwig w Janowicach Wielkich. Eberhard zmarł w lutym 1945 r. i wraz z ostatnim właścicielem upadł - po 460 latach - majątek.

**Wilhelm Schöhl** wybudował w 1900 roku pałac - Villę Schöhl w Nowej Wsi Złotoryjskiej, jako ukoronowanie swojego długiego życia, w którym odniósł sukcesy. Na froncie domu widniały grube, czarne litery: **” Wejźdź radosny do środka i oddał się wesoly. Jeśli przechodzisz jako wędrowiec, niech ci Bóg błogosławi na drogę”**. Pałac stał się symbolem miejscowości. Duża wieża domu pokazywała wędrowcom, już z daleka, do-

brobyt jego mieszkańców. Na starym domu mieszkalnym są jeszcze czytelne inicjały budowniczego JGS (Johann Gottfried Sagasser) i data 1778. Na jednej ze stodoł była tablica z napisem „Wybudowane przez W. Schöhl w roku 1887”.

Córka Eugena - **Inge Heese**, opowiada: „W rodzinnym domu mojego ojca w Nowej Wsi pracowało się dużo i oszczędzało. Rzadko jedzono swoje masło, sprzedawano je w Złotoryi. W gospodarstwie używano zwykłego tłuszczu. Gdy czegoś brakło w domu, szło się do miasta i kupowano zapisane rzeczy. Była to odległość godziny marszu. Dzieci były przyzwyczajane do pomocy. Mój tato był najstarszym synem, dlatego miał studiować, a nie być rolnikiem, chociaż chętnie by nim został. Wujek Eberhard troszczył się o wprowadzanie nowych osiągnięć w swoim majątku. Kupił do hodowli owce, których jagnięta powinny dostarczyć cennych karakułów. Niestety, z powodu wybuchu wojny plan się nie powiódł”.

W „Śląskiej księdze adresowej majątków” z 1937 r. jest wykaz stanu posiadania rodziny Schöhl w Nowej Wsi: „2 majątki rolne, w posiadaniu rodziny od 1492 r. 1 urzędnik, 1 sekretarka; powierzchnia 206 ha: 186 pól uprawnych, 6 łąk, 10 lasów, 3 parki, 1 ogród, podwórze, kamieniołom bazaltu, bydło wschodniofryzjskie, hodowla owiec (merynosy i Rambouillet), uprawa buraków”.

\*w Nowej Wsi Złotoryjskiej (am Rennwege = przy na drodze wyścigowej)

### A jak wspominają willę mieszkańcy Nowej Wsi Złotoryjskiej?

**Pani Halina** - Moja rodzina przyjechała do Nowej Wsi z okolic Wilna, w ramach repatriacji, w 1945 roku. Miałam wtedy 5 lat. Dziadkowie: Emilia i Antoni Drozdowscy - rodzice mamusi - mieli tam swoje gospodarstwo. Moi rodzice: Janina i Waclaw Grabarczykowie pracowali razem z nimi. Pobrali się w 1939 roku. Wyjazd tutaj uchronił nas przed wyjazdem na Syberię. Przyjechalśmy z dziadkami ze strony mamy i ojca (Rozalią i Franciszkiem) oraz siostrą mamy. Mój tatuś był od 1939 r. na robotach w Niemczech. Najpierw trafiliśmy do Gdańska, potem kuzyn dziadka ściągnął nas do Nowej Wsi. Było tu wiele pustych domów. Zajęliśmy duży budynek dawnego zajazdu. Na piętrze była wielka sala z pięknym, dębowym parkietem. Nie używaliśmy jej. Kiedyś odwiedziła nas Barbara - córka dawnych właścicieli. Po śmier-

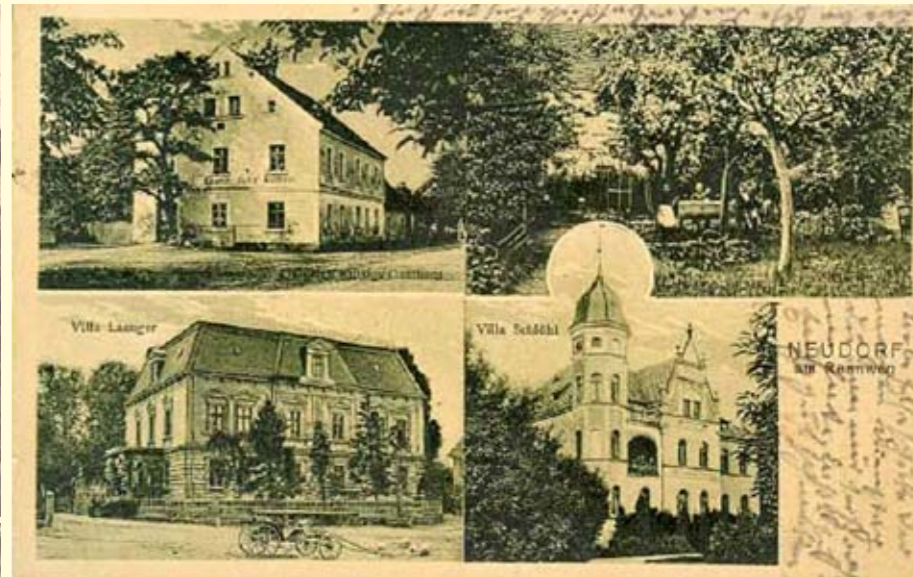
ci taty przeprowadziliśmy się do małego domku w środku wsi, a do tamtego wprowadził się mój przyszły mąż z rodziną. Jego brat zamieszkał potem ze swoją rodziną w pałacu. Ten pałac był już zniszczony, większość okien zabito deskami. Oni mieszkali w dwóch pokojach. Pamiętam, że na górze była sala balowa i piękne piece kaflowe - każdy inny. Obok był ładny park ze skwerami i doli-



ką z kwiatami. Przed pałacem było pełno róż. Na wjeździe do parku były dwie kolumny. Po drugiej stronie były zabudowania gospodarcze, na środku podwórza staw, a okoliczne pola były ob-

sadzone drzewami owocowymi.

**Pan Antoni** - Jak się sprowadziliśmy do pałacu, w latach 60. to już była ruina. Mieszkaliśmy tam do 1974 r. Wieża była postrzelana. Z opowiadań wiem, że po wojnie było w środku wszystko. Zajęliśmy dwa mniejsze pokoje na parterze i jeden większy, z którego zrobiliśmy kuchnię. Trzeba było wstawić kuchnię węglową i zbudować piece. Właściwa



kuchnia z piecem chlebowym i windą do transportowania posiłków była w piwnicy. Jedna z piwnic znajdujących się pod całym budynkiem, zrobionych do 1,5 m wysokości z ciosanego kamienia, a reszta z cegły, miała zejście jeszcze w dół. Chyba przechowywano w niej wina. Duża sala na piętrze miała porzywaną klepkę dębową z podłogi. Na górę prowadziły piękne, drewniane schody, ale bez balustrad. Ściany były wyklejone gazetami i na to tapety. Sufity miały gipsowe ornamenty. Studnia, z której korzystaliśmy, była w gospodarstwie obok. Pałac otaczał piękny park z żywopłotem z głogu z potężnymi owocami. Rosły w nim jaśminy, krokusy, były ławki kamienne, ślady po fontannie. Były też pozostałości okopów i czasem znajdowaliśmy podczas zabawy niewybuchy. Wychowaliśmy się w tym parku. Teraz park nie ma takiego uroku. Po drugiej stronie drogi był stary budynek mieszkalny i duże zabudowania gospodarcze: potężna stodoła z 8 wjazdami, obora z podłami i wózkami paszowymi dla bydła, szeroka brama na pole i ogromny silos. Były one wykorzysty-

wane też po wojnie. Z tego został tylko dom z pruskim murem, reszta spłonęła, podpalona przez jakiegoś piromana.

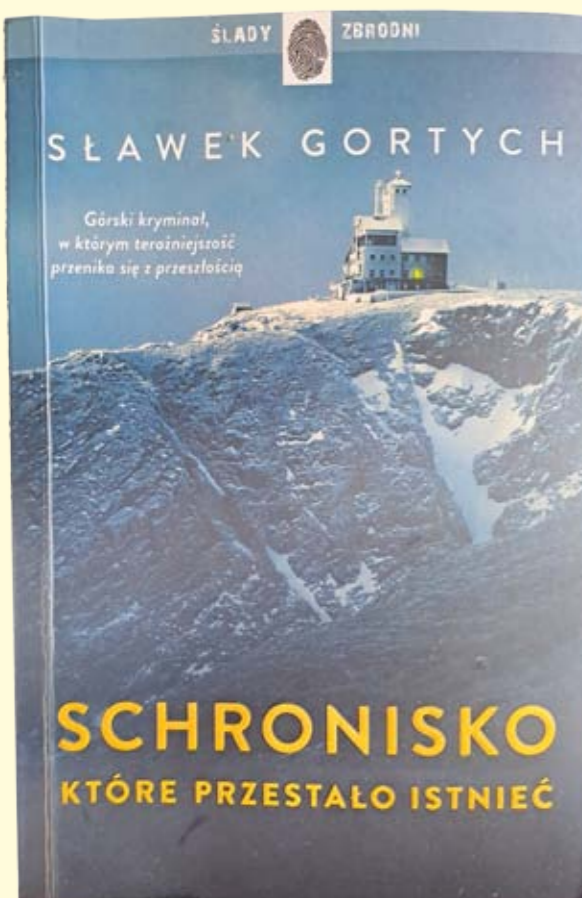
**Pan Tadeusz** - Przyjechalśmy do Nowej Wsi w 1973 r. Rodzice kupili ten duży dom na wjeździe - tzw. Villę Laengera. Przed nami mieszkali w nim dwie rodziny. Ojciec zrobił remont, podzielił dom na dwie części. Szkoda tylko pięknej dużej sali na piętrze i schodów. Gdy ów-

czesna władza przeznaczyła Villę Schöhl do rozbiórki, mój ojciec próbował zakupić ten budynek, ale nie dostał zgody z gminy. Przystąpił z 8 innymi osobami do przetargu na rozbiórkę i gdy go wygrał, przystąpił do materiały budowlanej. Pomagaliśmy przy tym z bratem zimą 1974/75. Zaczynaliśmy od dachu, rosnących na nim drzew, potem ściągnęliśmy wieżę. Dobrze, że brat zrobił zdjęcia przed rozebraniem reszty. Nasz dom powstał w 1978 r. z cegieł z willi. Czyli jest taki „stary-nowy”. Sam kiedyś myślałem o kupnie działki po pałacu i odbudowaniu go, ale nic z tego nie wyszło. Teraz - na podstawie starych zdjęć - odnawiam z zewnątrz moją połowę naszej willi. Odtwarzam boniowanie i obramowania okien. Na podwórzu zachowały się dwie studnie: jedna z 1756, druga z 1819 roku, a na na budynku tablica „Wybudowany przez Sz. Laengera”.

**Wielka szkoda, że dzieło życia Wilhema uległo zniszczeniu, podobnie jak wiele takich obiektów na Dolnym Śląsku. Villa Schöhl w Nowej Wsi Złotoryjskiej zniknęła. Cieszy jednak to, że udało się choć trochę ocalić od zapomnienia pamięć o niej.**

**Wioleta Michalczyk**

**Archiwa rodzinne mieszkańców**



sko, które przestało istnieć” - debiut Sławka Gortycha – młodego blogera i początkującego literata a z wykształcenia i zawodu stomatologa. Ten pasjonat Karkonoszy i dolnośląskich tajemnic pochodzi z Bolesławca i bliskie mu są regionalne klimaty. Tym razem pod lupę wziętą schronisko Nad Śnieżnymi Kotłami, którego zdjęcie zdobi okładkę powieści. Nota bene zdjęcie wykonał znany dolnośląski fotograf Rafał Kotylak.

Gortych w swojej powieści intersująco łączy historię i teraźniejszość a sensację miesza z odrobiną romantyzmu. Żonglując na przemian faktami i zmyśleniem, tworzy historię, która swoje źródło ma w ostatnich dniach II wojny światowej a finał na początku XXI wieku. Pokazuje dramat przesiedleń, odtwarza atmosferę karkonoskich schronisk i próbuje wyjaśnić zagadkę tajemniczych śmierci ich właścicieli. W jednej z głównych ról swojej powieści obsadza noblistę z Jagińtkowa – Gerharta Hauptmanna.

Książkę Gortycha polecam czytać z mapą Karkonoszy i włączoną przeglądarką, gdzie można wygooglować stare fotografie niemieckich (potem polskich) i czeskich schronisk.

I taka ciekawostka: raz w książce wspomniana jest Złotoryja ☺

Poczytajcie, a znajdziecie.

**Iwona Pawłowska**

## Poszukiwany, poszukiwana

Redakcja Echa Złotoryi szuka współpracownika lub współpracownicy!

*Jeśli masz lekkie pióro, trochę zbędnego czasu, pasję historyczną, jesteś kolekcjonerem/kolekcjonerką starych fotografii, dawnych przedmiotów – świadków złotoryjskiej historii i chcesz o tym opowiedzieć naszym czytelnikom, to właśnie Ciebie potrzebujemy.*

Co dajemy w zamian?

*Do dyspozycji tak zwane „żółte strony” Echa, dużo satysfakcji z publikowanych materiałów, motywujące spotkania przy kawie raz w miesiącu i dobre słowo na czelnej. Na gratyfikację finansową nie masz co liczyć, bo nasza praca jest w pełni społeczna. Jeśli to Cię nie zraża, odezwij się do nas, pisząc wiadomość na adres [echozlotoryi@tmzz.pl](mailto:echozlotoryi@tmzz.pl)*

## Warto przeczytać

Lubię, kiedy pisarze, budując fabułę, osadzają życie bohaterów w konkretnej, najlepiej znanej mi przestrzeni. Dlatego z ciekawością sięgnęłam po „Schroni-

## Trotzendorf Platz

Reprezentatywny plac przed kościołem NNMP zasłużenie nosił imię wybitnego pedagoga. To tu-



taj nauczał i pozostał na wieki - przynajmniej z nazwy. Prezentujemy dwie widokówki z początku XX w., sporadycznie pojawiające się w handlu.

Na pocztówkach widać zmiany, jakie nastąpiły na placu po wyburzeniu kamienicy naprzeciwko kościoła.

**Piotr Klimaszewski**

## Z lotu ptaka

Pocztówki lotnicze są wyjątkowe, gdyż pozwalają nam spojrzeć na dawny Goldberg z innej perspektywy.

O ile tak zwane „ulicówki” pokazują nam istotne szczegóły danej kamienicy czy też fragmentu ulicy/placu, to pocztówki lotnicze ukazują nam te miejsca, które nie były odwiedzane przez fotografów.

Widoki zaprezentowane przez pilotów poka-



zują nam Goldberg, jakiego nie znamy.

**Piotr Klimaszewski**

## Ołtarz



Stary ołtarz służył wiernym do początku XX w. Był to prawdopodobnie tryptyk gotycki, z motywem głównym nawiązania św. Elżbiety. Tryptyk był w katastrofalnym stanie i podjęto decyzję o instalacji nowego ołtarza.

W 1811 r. gmina ewangelicka otrzymała informację, że na sprzedaż jest ołtarz z kościoła św. Jana w Legnicy. Rozmiarowo ołtarz ten mieścił się niemal idealnie w prezbiterium złotoryjskiej świątyni.

Fundatorem nowego ołtarza był złotoryjski sukiennik CARL SIEGISMUND HOFFMANN, który wyłożył pełną kwotę do zapłaty za ołtarz, która wynosiła 50 talarów.. Kwota zebrana od mieszkańców miała pokryć koszty jego transportu.

W lutym 1812 r. ołtarz rozebrano i na kilkudziesięciu wozach dowieziono do Złotoryi. Po złożeniu i odnowieniu ołtarz poświęcono w dniu 26 lipca 1812 r. Ceremonii przewodniczył pastor CARL HEINRICH POSTEL.

Sam ołtarz jest imponujący. Główne malowidło przedstawia scenę ukrzyżowania Chrystusa. Najprawdopodobniej jego autorem był znany malarz z Lubią-

ża- MICHAEL WILLMANN.

Górne malowidło przedstawiało św. Jadwigę - niestety obraz zaginął na początku lat 50. XX w.

Powyżej głównego malowidła, pomiędzy postaciami aniołów, znajdują się dwa herby w ozdobnych kartuszach z koroną. Najprawdopodobniej są to godła fundatorów ołtarza - grafów z Wierzbna i Weseliny (Würben i Freudenthal)

W zwieńczeniu ołtarza widoczna postać Boga Ojca w promienistej aureoli.

Cały ołtarz zdobiony jest postaciami, girlandami i innymi motywami.

Pocztówkę wydał znany złotoryjski fotograf - Konrad Menzel.

Co prawda to już nie jest mój okres zainteresowań, ale...

Opisany zaginiony (oryginalny) obraz został zastąpiony nowym przez proboszcza Onufrego Stankiewicza w 1959 r. Ten przedstawia Maryję depczącą węża i półksiężyc. Obraz został dopasowany do poprzedniej ramy, a jego boki domalowano, gdyż był „za wąski”.

**Piotr Klimaszewski**

# Dobrze zainwestowane 1,5% Twojego podatku



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej  
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

1987-2023

ECHO  
ZŁOTORYI

- ✓ Koło Kresowian
- ✓ Klub Kolekcjonera
- ✓ Echo Złotoryi
- ✓ Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Księgarnia Internetowa
- ✓ Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba

## GALERIA SPONSORÓW



BAZALT®



**Lena**

Wilków Spółka z o.o.

### PRODUCENT

konstrukcji stalowych  
aparatury i urządzeń technologicznych  
w tym dla ochrony środowiska  
tymczasowych stacji paliw  
elementów złącznych hydrauliki siłowej  
sprzętu transportowego dla górnictwa  
[www.lena.com.pl](http://www.lena.com.pl)  
[lenawilkow@lena.com.pl](mailto:lenawilkow@lena.com.pl)  
tel. +48 76 8783 480, fax +48 76 8783 212



VITBIS  
szklane bombki choinkowe



grysy bazaltowe



- \* płukanki
- \* kolorowe
- \* posypki
- \* mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL  
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 073

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), [www.tmzz.pl](http://www.tmzz.pl), e-mail: [echozlotoryi@tmzz.pl](mailto:echozlotoryi@tmzz.pl)

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Marta Kusiak, Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.

Zdjęcie na okładce: Iwona Pawłowska - Złotoryja, Baszta Kowalska

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

ECHO  
ZŁOTORYI

